MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 26 WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

O ŚWIADECTWO PRAWDZIE

(*LIST DO PRZYJACIELA*)

NIE mogę milczeć dłużej, nie mogę trwać w tej rozterce duchowej, która mnie dręczy i przejmuje bólem. Do Ciebie więc zwracam się, przyjacielu drogi i towarzyszu naszych lat młodych, do Ciebie, który byłeś dla mnie zawsze wcieleniem szlachetnych instynktów, czystej duszy i najszczytniejszych umiłowań, abyś pokrzepił mnie na duchu i uspokoił. Pragnę także, abyś potwierdził, że ten syk wężów, pryskających nam w oczy jadowitą śliną, to tylko straszna lecz przemijająca zmora, która wypełzła z zakamarków nikczemności ludzkiej i obca jest ustalonym od wieków pojęciom o tem, co dobre, uczciwe, szlachetne i wzniosłe.

Pragnę znaleźć w Twem sercu oddźwięk niezmiennych i zawsze zgodnych naszych uczuć, pragnę umocnić się w wierze, że Ty i ja przez całe życie służyliśmy dobrej sprawie, że więc niegodnem, potwornem kłamstwem jest zaprzeczenie nam tych uczuć i myśli, które były całego życia naszego najwyższą chlubą. Bo przecież pomimo, że obaj zbliżamy się do sześćdziesiątki, że nie odznaczyliśmy się w życiu zdolnościami czy talentami, że popełniliśmy zapewne wiele błędów lub wykazaliśmy nieraz zbyt słabą wolę w zwalczaniu zła, to jednak mieliśmy zawsze jedną ambicję, że przeżyliśmy nasz wiek jako wierni słudzy najwyższego majestatu Ojczyzny, któremu dalibóg nie uchybiliśmy ani jednem drgnieniem serca, ani jedną myślą. I oto dziś u schyłku życia dowiadujemy się, że to, co było naszą dumą i zaszczytem, co dzieciom naszym chcieliśmy przekazać jako najcenniejszą cząstkę ich spuścizny — jest niczem więcej, jak szkodnictwem narodowem, ba! czynem zbrodniczym przeciwko państwu polskiemu, czynem godzącym w ten majestat, którego ziszczenia tyle lat oczekiwaliśmy i w którego blasku pragnęliśmy umierać.

A jednak to straszne oskarżenie, które zdawałoby się nie może przejść przez usta ludzi, co się Polakami mienią, zwłaszcza gdy ludzie ci w ułudnem zaślepieniu gotowi są wszystkie narodowości niepolskie pod skrzydłami Orła Białego utulić—nie jest jakimś upiornym snem, lecz dokumentem urzędowym przypieczętowanym — o bolesna ironjo — odciskiem tegoż godła polskiego. Pod pręgierzem tak niesłychanego zarzutu postawiono Obóz Wielkiej Polski we Lwowie i sąsiednich województwach, zawieszając jego działalność, konfiskując wydawnictwa i więżąc kilku jego działaczy. Doprawdy można zmysły stracić!

I czyż my obaj, mój drogi, możemy patrzeć spokojnie, gdy w Polsce prześladuje się ludzi bliskich nam duchem i gdy się ich oskarża o czyn najhaniebniejszy dla Polaka, jakim jest zdrada interesów swego własnego państwa. Wprawdzie my, jako ludzie starsi, nie bierzemy bezpośredniego udziału w pracach Obozu, skupiającego ludzi młodych, kipiących energją życia i żądzą twórczego czynu, niemniej jednak z niezachwianem przekonaniem stoimy przy jego hasłach, żywiąc nadto cześć dla wielkiego Polaka i obywatela, który Obóz do życia powołał. Idee tego człowieka, który od naszych lat najmłodszych był naszym przywódcą duchowym, są nam drogie a wskazania Obozu Wielkiej Polski uznajemy za nasze wyznanie wiary. Te wskazania nie są dla nikogo tajemnicą. Opublikowano je w szeregu wydawnictw. Można się z niemi nie zgadzać, można je krytykować, czy nawet odrzucać, można wreszcie hołdować innym kierunkom myśli państwowej — lecz doprawdy konia z rzędem temu, kto na kartach tych książek znajdzie choć jedną myśl, jedno słowo, skierowane przeciwko istotnym interesom państwa polskiego. A jednak to się stało, a to, co się stało, jest jakby nagłem uderzeniem obucha ze strony, z której najmniej mogliśmy się tego ciosu spodziewać. Więc nie dziw, że oszołomieni i zdrętwiali w bólu pytamy, gdzie jesteśmy, w jakim ustroju żyjemy i jaka ręka tym razem nas smaga. Bo jeśli rozumieliśmy, dlaczego spadały na nas ciosy z ręki wroga, to gdy za te same myśli i umiłowania jesteśmy prześladowani przez swoich, to mamy wrażenie, że ziemia zapada się nam pod nogami, a na kartach przeznaczeń Polski już jakiś szatan wypisuje wyrok zagłady.

I próżno pocieszalibyśmy się myślą, że to jest tragiczne ale chwilowe nieporozumienie, gdyż te potwarcze oskarżenia coraz silniejszem rozlegają się echem, a wraz z niemi idzie w naród polski fanatyczny, bojowy okrzyk, wzywający w imię interesów państwa do tępienia nas tak, żeby śladu po naszej idei nie zostało. To hasło nienawiści przenika powoli do najszer-

szch warstw społeczeństwa, które w prostocie ducha mogą wreszcie uwierzyć, że istotnie popełniliśmy jakąś wielką zbrodnię przeciw Polsce, że przez samo istnienie nasze hamujemy rozwój i potęgę państwa. Przecież nie możemy do tego dopuścić, pozostawiając te bratobójcze okrzyki bez odpowiedzi. Musimy wołać o sprawiedliwy sąd narodu, musimy zatargać sumieniami ludzkiemi, musimy wreszcie uczynić publiczną spowiedź z tych „grzechów naszego żywota", aby te same jaknajszersze warstwy narodu wiedziały, za co mamy być ukamienowani. I gdy myślę, w jaki sposób rzucić w oczy oszczercom ten akt naszego protestu, jak uprzytomnić ludziom, nie zdającym sobie sprawy z niskich pobudek sporów partyjnych — całą potworność zarzutów, potępiających w czambuł nasz kierunek ideowy, to wydaje mi się, że fakty zaczerpnięte z przeszłości przemówią silniej do wyobraźni, niż bezpłodne utarczki słowne z naszymi oskarżycielami. Zaś cofając się myślą w przeszłość i szukając w niej ludzi, którzyby zarówno w odruchach swej duszy jak i w czynach ofiarnych najlepiej uosobiali narodowe i moralne walory naszego kierunku, to przedewszystkiem Ty, drogi przyjacielu, stajesz mi przed oczyma, jako ten, co w swem skromnem życiu najbardziej zasłużył się wymarzonym przez nas ideałom. Więc nie gniewaj się, że Ci dziś kilka chwil z tej pięknej i drogiej przeszłości przypomnę.

Czy pamiętasz wieczór letni na wsi, gdy jeden ze starszych kolegów uniwersyteckich wyprowadził nas w tajemnicy do ogrodu i ukryty w najciemniejszym gąszczu drzew mówił nam o ówczesnych niedolach ojczyzny i o konieczności poświęcenia dla niej wszystkich sił, by módz ją z niewoli wydźwignąć i do niepodległego bytu doprowadzić? Czy pamiętasz, jak głos mu drżał wzruszeniem, jak w ciemności gorączkowym blaskiem świeciły jego oczy, gdy nas zagrzewał do pracy dla wielkiej idei, gdy nam wskazywał, że Polska tylko wspólnym i nieustannym wysiłkiem swych synów może odzyskać utraconą wolność, gdy wreszcie głosem uroczystym zapytał, czy chcemy służyć najwyższym interesom Polski, które ponad własne sprawy zawsze i wszędzie obowiązani będziemy stawiać? Czy pamiętasz, jak odebrawszy od nas przysięgę na wierność idei narodowej, uścisnął nasze dłonie, pasując nas niejako na bojowników świętej sprawy, jak potem rzuciliśmy się w jego objęcia, a łzy rzęsiste zrosiły to pierwsze nasze ślubowanie? Już blisko czterdzieści lat upłynęło od tej chwili, a stoi mi ona tak żywo w pamięci, że mógłbym niemal powtórzyć wszystko, cośmy wówczas mówili. Czy dotrzymaliśmy tej przysięgi? O sobie mówić nie będę, gdyż trudno być bezstronnym sędzią swoich czynów. Za to, jeśli o Ciebie chodzi, to znając Twoje życie, wiem, że nie było w niem ani jednej chwili, w której sprawa publiczna nie górowałaby w Twoich myślach i czynach nad pobudkami interesu osobistego.

Już wkrótce po złożeniu przysięgi, gdy skończyłeś studja, dałeś dobitny dowód jak głęboko zapadła Ci ona w duszę. Oto zamiast osiąść na roli, gdzie czekała Cię scheda, odziedziczona po ojcu, zamiast pogrążyć się w beztrosce i uciechach, w jakie obfituje życie zamożnego młodzieńca sfery ziemiańskiej, Ty wziąłeś kij wędrowny, przywdziałeś ubiór prawie żebraczy i na pół roku zginąłeś nam z oczu. Dopiero po powrocie z tej długiej wędrówki dowiedzieliśmy się, gdzieś był i coś robił. Oto poszedłeś, aby zespolić się duchowo z najciemniejszemi masami ludu wiejskiego, nieść światło pod ich ubogie strzechy, mówić im o Polsce i budzić dusze, w wiekowem odrętwieniu uśpione, do nowego życia, opromienionego blaskiem obcej im przedtem idei i nowej miłości. Dla zrozumienia niezwykłej ofiary, złożonej wtedy przez Ciebie na ołtarzu sprawy narodowej, wystarczy uprzytomnić sobie fakt, że dobrowolnie wyrzekłeś się elementarnych wygód życia, bez których człowiek cywilizowany obejść się nie może. Sypiałeś na barłogach, żywiłeś się najprostszą strawą, ani razu nie wypadłeś z roli ubogiego wędrowca, żeby nie zbudzić podejrzeń wśród swych słuchaczów, wreszcie unikałeś większych zbiorowisk ludzkich, żeby omylić czujność władz policyjnych. To ostatnie udało ci się szczęśliwie, choć nie wiele brakowało, abyś nie dostał się w ich ręce, bo tylko śmiałemu skokowi przez okno i ucieczce w las pod strzałami żandarmów zawdzięczasz ocalanie swoje już na ostatnim etapie przed Warszawą.

Z wędrówki tej, obok wielu wrażeń i przeżyć, wyniosłeś przeświadczenie o nieodzownej konieczności założenia pisma ludowego, wydawanego za kordonem, którego głównym celem winno było być budzenie ducha narodowego i miłości ojczyzny w szerokich warstwach ludu polskiego. Myśl ta wkrótce została wcielona w czyn przez niezapomnianej pamięci Jana Popławskiego, który dzięki ofierze pieniężnej — mówiąc nawiasem w lwiej części przez Ciebie złożonej—zaczął wydawać „Polaka", przemycanego z Galicji w tysiącach egzemplarzy i rozpowszechnianego pokryjomu przez liczne zastępy ofiarnych działaczów oświatowych. Z tego okresu pracy oświatowej, przypadającej na pierwsze lata wieku bieżącego, przypominają mi się pełne podniosłych nastrojów zebrania tajne u zacnego i kochanego doktora w powiatowem mieście, który z bezprzykładnem poświęceniem i niespożytą energją kierował całą organizacją tej pracy. Schodziliśmy się tam z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, aby się zetknąć z gronem bardziej uświadomionych narodowo włościan. Dziś szczegóły naszych rozmów uleciały mi z pamięci, to tylko wiem, że głównym ich tematem była Polska i jej wskrzeszenie. Podobna działalność rozwijała się i w innych ogniskach życia prowincjonalnego. Można śmiało powiedzieć, że rezultaty tej krótkiej pracy oświatowej były wprost zdumiewające. Uzewnętrzniły się one już w 1904 roku w toku podróży Henryka Sienkiewicza po kraju z odczytami na rzecz powodzian. Entuzjazm, z jakim przedstawiciele ludu witali genjalnego pisarza i wielkiego patrjotę przeszedł najśmielsze nasze oczekiwania. Był on prawdziwą rewelacją dla wszystkich, co nie przestali uważać ludu za bierną masę, nieprzystępną żadnym idealnym pobudkom.

Wkrótce przyszła o wiele ważniejsza i bardziej doniosła próba nastrojów mas ludowych. Kongresówka stanęła przed zagadnieniem wyborów swego przedstawicielstwa do pierwszej Dumy państwowej w Petersburgu. Prawdziwą zmorą wszystkich patrjotów polskich był wybór przedstawicielstwa, złożonego z różnych figur rządowych, wysłużonych żołnierzy, lojalnych wójtów czy burmistrzów miast, co ze względu na ciemne masy, ulegające wpływom komisarzy włościańskich i innych rusyfikatorów, było rzeczą nie tylko możliwą, ale, jak się zdawało, nieuchronną. Kamień spadł wszystkim z serca, gdy wybrano do 1-ej i 2-ej Dumy przedstawicielstwo nawskroś polskie. Co więcej, gdy po rozwiązaniu 2-ej Dumy sfery petersburskie chciały tak zmienić ordynację wyborczą, żeby umożliwić przeprowadzenie rządowych kandydatów, to generał gubernator warszawski Skałłon po wielu ankietach i naradach, zmuszony był przyznać, że nie widzi żadnego sposobu przeprowadzenia tej zmiany. Oczywiście nie mam zamiaru przypisywać całej zasługi wywołania opozycyjnych nastrojów w masach ludowych jedynie naszemu obozowi, muszę jednak stwierdzić, że w za-

kresie stosunków wiejskich wpływy nasze były decydujące.

W okresie t. zw. „po-wolnościowym“ można już było z pewną względną swobodą pisać i mówić o Polsce, wobec czego masowe rozdawnictwo pism nielegalnych przestało być koniecznością. Natomiast możność stowarzyszania się, a zwłaszcza tworzenia jawnych organizacyj społeczno-gospodarczych, zwróciła w tym kierunku wysiłki działaczów publicznych. Ideą przewodnią tego ruchu było umocnienie podstaw gospodarczych bytu narodowego, wzmożenie dobrobytu i kultury szerokich mas, usamodzielnienie przemysłu i handlu, słowem osiągnięcie takiego poziomu rozwoju cywilizacyjnego, aby kraj z chwilą uzyskania niepodległości mógł stanąć na równi z kulturalnemi państwami zachodu. Była to praca bardzo mozolna i długa, nie przedstawiająca bynajmniej terenu do efektownych wystąpień i łatwych laurów, dlatego dotychczas jest przez wielu apostołów postępu traktowana z uśmiechem pobłażliwego lekceważenia. Cokolwiekbądź można jej było zarzucić, to jednak nawet przeciwnicy nie mogą odmówić jej znamion akcji państwo-twórczej. O ile idzie o ludzi naszego obozu, to ci uznawali wielką doniosłość tej pracy bez zastrzeżeń.

Zawrzała więc zorganizowana działalność w tym kierunku, a kraj w krótkim czasie pokrył się gęstą siecią kółek rolniczych, kooperatyw czy stowarzyszeń. I rzecz prosta, że w tej robocie ty mój drogi wziąłeś znowu jaknajczynniejszy udział. Nie potrzebowałeś już, jak za czasów swej wędrówki po kraju, ukrywać się, wchodząc do chaty włościańskiej, to też skwapliwie korzystałeś z tych okruchów swobody, aby pod innem hasłem prowadzić pracę zawsze w tym samym celu t. j. dla przyszłej potęgi Polski. Objeżdżałeś swój okręg zakładając kółka rolnicze, zachęcałeś słowem i przykładem do stosowania ulepszonych metod gospodarki, a czyniłeś to zawsze z takim zapałem i poświęceniem, że nawet najzawziętsi nasi przeciwnicy przyznawali, iż nie żądza popularności, nie ubieganie się o zaszczyty, lecz prawdziwe ukochanie ludu polskiego było twym jednym bodźcem i drogowskazem.

Aż wreszcie nadeszła chwila upragniona dla Polski, w której trzy państwa zaborcze stanęły do śmiertelnych zapasów. Siły wojenne nieprzyjaciół przelewały się przez ziemię naszą, tratując i niszcząc nietylko mienie obywateli, lecz ponadto niosąc z sobą o wiele groźniejsze i trwalsze zniszczenie dusz, zatruwanych jadem wojennej deprawacji. To też znowu przed ludźmi, dbającemi przedewszystkiem o zdrowie moralne narodu, stawało trudne zadanie bronienia czystości dusz i rąk w tym chaosie przewartościowania wszystkich wartości moralnych. Ale ponad wszystkie komplikacje doby wojennej wybijało się zawsze i wszędzie tragiczne zagadnienie, dręczące dusze Polaków, rozumiejących odpowiedzialność swą wobec przyszłych losów ojczyzny— po której stronie stanąć, czy współdziałać z istniejącym *de facto* stanem rzeczy, czy czekać bardziej sprzyjającego dla interesów polskich układu stosunków. Nie miejsce i nie pora wdawać się w rozstrzygnięcia tego sporu, który do dziś dnia dzieli Polaków niemal na dwa wrogie obozy. Więc raczej wrócę znowu do wspomnień osobistych, przypominając Ci fakt, który dla Ciebie był punktem przełomowym twych szamotań duchowych, a który ostatecznie umocnił Cię w wierze, iż hasła, które dotychczas wyznawałeś, są zgodne z istotnym interesem narodu. Otóż dla nas, Twoich przyjaciół nie było nigdy tajemnicą, że wojskowość a przedewszystkiem wojskowość polska była zawsze przedmiotem Twoich najgłębszych ukochań i marzeń. Z natury swej, z temperamentu i ducha byłeś urodzonym ułanem polskim, nic więc dziwnego, że od czasu, gdy nie tylko w pieśni, ale i w rzeczywistości nasi zaczęli „bić w tarabany“, nie mogłeś znaleźć spokoju. Nieprzeparty czar życia bojowego ciągnął Cię, by siąść na koń i szablę przypasać, a znów wewnętrzny głos sumienia budził wątpliwości i obawy przed zabójczem dla Polski braterstwem broni z okupantami.

Czy pamiętasz dzień 1 grudnia 1916 r., w którym legjony polskie po raz pierwszy wkroczyły do stolicy. Mój Boże — czy był choć jeden Polak wśród pięciu pokoleń, zrodzonych w mrokach niewoli, któryby marząc o tem wkroczeniu nie wyobrażał go sobie jako chwili potężnego triumfu, radości i upojenia. A tu tymczasem zwarte kolumny żołnierza polskiego szły po ulicach wśród głębokiej ciszy, w której słychać było tylko uderzenia kopyt końskich o bruk. Kto uważniej wsłuchałby się w tę tragiczną ciszę, ten niezawodnie dosłyszałby kołatanie serc z tłumu, serc, bijących niestety nie szałem radości, lecz głębokim smutkiem zwątpienia. Bo — tam u kresu marszu czekał na żołnierza polskiego generał gubernator Beseler, czekał, aby powitać go imieniem swego cesarza i wodza armij sprzymierzonych, któremu żołnierz ten przy pierwszem swem wejściu do stolicy musiał oddać honory wojskowe.

Traf zdarzył, że stałem wtedy na ulicy obok Ciebie, mój przyjacielu. Widziałem, jak się mieniłeś na twarzy, jak Ci oczy łzami zachodziły, jak całem swem jestestwem rwałeś się do tego bractwa, świecącego orzełkami polskiemi, a jednak okrzyk triumfu zamarł Ci na ustach. Bo w głębi Twego tak na wskroś polskiego sumienia jakiś głos szeptał Ci słowa przestrogi, że szlak żołnierza polskiego nie do stóp Beselera prowadzi.

I rzecz dziwna, to tragiczne szamotanie się duszy polskiej, to zwycięstwo nad sobą, które Ci w moich oczach tylko chlubę przynosi, było wtedy przez wielu ówczesnych entuzjastów państw centralnych, a i dziś nawet przez ich epigonów uznawane za pospolity objaw „moskalofilstwa“, Ty, mój drogi, drwisz sobie oczywiście z takich zarzutów, bo jakim byłeś „moskalofilem“, tego najlepszy dowód dałeś w listopadzie 1918 roku, gdy już wiedziałeś, za co i przeciwko komu masz walczyć i gdy pomimo swej pięćdziesiątki na karku zaraz w pierwszych tygodniach niepodległości stawiłeś się *antiquo modo* z koniem i zaciągiem, jak na szlachcica przystało, aby wierne swe służby ofiarować ojczyźnie w stopniu prostego ułana. Nie chcę obrażać Twej skromności, więc nie będę mówił, czego dokonałeś w ciągu trzech lat spędzonych bądź na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej bądź w obronie Warszawy. Zresztą świadczą o tem dostatecznie oba krzyże wojskowe i powszechna miłość towarzyszów broni, jaka Cię w pułku do dziś dnia otacza. Ale wspomnę przecież i o trzecim krzyżu, zdobiącym Twą pierś i o okolicznościach, w jakich go zdobyłeś. Oto po trzech latach twardej wojskowej służby uznałeś, że nadszedł i dla Ciebie czas, aby odpocząć, jak mówili nasi ojcowie — na łonie wolnej ojczyzny. Zdjąłeś więc mundur, wróciłeś na ojczysty zagon, ale przed ujęciem za lemiesz pojechałeś na kurację, aby leczyć nadwątlone w trudach wojennych siły pięćdziesięciokilkoletniego... podporucznika. Jakieś licho skusiło Cię, że wybrałeś drogę przez Śląsk, gdzie wtedy wrzało powstanie. I oto, nagle, zamiast kartki z widokiem uzdrowiska, odbieram od Ciebie list, który zachowałem dotychczas, jako drogą pamiątkę Twej przyjaźni. W liście tym piszesz do mnie i do innych przyjaciół: „nie bierzcie mnie za

warjata lub awanturnika, ale gdym się znalazł tutaj, gdzie krew polska się leje, nie mogłem być widzem i wstępuję do formującego się pułku ułanów". Czytałem Twój list z rozrzewnieniem, a gdym pokazał go licznemu gronu Twych przyjaciół i kolegów t. j. temu gronu ludzi, którzy dziś za zakałę państwa polskiego zostali uznani, to wszyscy chlubiliśmy się Twym rycerskim czynem, z którego przecież pewien słaby odblask padł i na nas, Twoich najbliższych. Bo jeśli nie możemy równać się z Tobą w zasługach wojskowych, ani w tem zaparciu się siebie, z jakiem poszedłeś do ludu, aby głosić prawdy o Polsce, to jednak Twoja wysoka wartość moralna świadczy również o wartości tych, których obdarzasz przyjaźnią. A że przyjaźń nasza wytrzymała długą próbę kilkudziesięciu lat, że przez ten czas pracowaliśmy w imię wspólnych haseł i walczyliśmy pod jednym sztandarem, że i teraz nic nas nie dzieli i że nadal czujemy się braćmi, tak w idei jak w czynie — to mamy chyba prawo uważać się za zespół ludzi, ściśle zjednoczonych duchowo i zbliżonych do Ciebie wartością moralną. Inna rzecz, że nie przestaniemy się Tobą szczycić. Dlatego, gdy padły straszne zarzuty o szkodnictwie państwowem ludzi naszego typu, Twoje życie wziąłem jako przykład, wykazujący całą potworność oskarżenia, ale sam wiesz, że mógłbym powołać się na wielu innych przyjaciół, przerastających nas obu wiedzą i zdolnościami, którzy dawniej prześladowani przez obce rządy, walkę swą o najwyższe dobro narodowe więzieniem przypłacili a w pozytywnej pracy twórczej mogą śmiało stanąć wobec najbardziej zasłużonych budowniczych Państwa Polskiego. Sądzę, że ten pobieżny opis Twego życia, które było niejako fragmentem ogólnej działalności naszego ideowego kierunku wystarczy, aby mnie zwolnić od polemiki z ludźmi, których jedyną bronią jest oszczerstwo, jedynem uczuciem nienawiść, a jedynym programem ślepa żądza starcia z powierzchni ziemi swoich przeciwników. W imię tych pierwotnych instynktów wypowiedzieli nam walkę i wyrządzili taką krzywdę, jakiej bodaj nigdy Polak od Polaka nie doznał. My jednak tym faktom niszczycielskiego i bratobójczego szału przeciwstawić możemy spokój płynący z przeświadczenia, że w niczem nie uchybiliśmy wielkiemu majestatowi ojczyzny, że sumienie mamy czyste, a ręce nieskalane powszechną grabieżą dobra państwowego, że wreszcie idea, której służyliśmy i nadal służyć będziemy, jest tak wielka, że zniszczenie jej równałoby się zniszczeniu Polski. A że Polska jest i będzie nieśmiertelną, więc możemy z otuchą patrzeć w przyszłość, bo jak mówi stare przysłowie „większe jest miłosierdzie Boskie, niż złość ludzka".

MARJAN KINIORSKI

KONFLIKTY KONSTYTUCYJNE W POLSCE

(Dokończenie)

JAK było już powiedziane, Sejm uchwalił 20 lutego 1919 r. „małą Konstytucję" i powierzył Piłsudskiemu dalsze sprawowanie urzędu naczelnika Państwa. Mandat ten oparł Sejm na tej zasadzie, że „władzą suwerenną i ustawodawczą w Państwie Polskiem jest Sejm ustawodawczy; ustawy ogłasza Marszałek z kontrasygnatą Prezydenta ministrów i odnośnego ministra fachowego. Naczelnik Państwa jest przedstawicielem Państwa i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych, powołuje rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem, jest jednak wraz z rządem odpowiedzialny przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu". Z takiego brzmienia uchwały Sejmu ustawodawczego wynikało niewątpliwie, że w sprawie polityki zewnętrznej państwa, granic państwa, wojny i pokoju oraz sojuszów tylko Sejm był najwyższą władzą kompetentną.

Niebawem też rozpoczęły się na tem polu konflikty między Sejmem i Naczelnikiem Państwa. Wobec grożącej wojny z bolszewją prowadzono rokowania o granice Polski, odrzucono korzystne propozycje rosyjskie, zawarto tajny sojusz z Petlurą, zapewniono niezawisłość Ukrainy, wszystko bez wiedzy i aprobaty Sejmu. Wyprawa na Kijów zakończyła się klęską.

W czasie wojny rząd zaproponował utworzenie Rady Obrony Państwa celem szybkiej decyzji we wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny oraz wydawania w tych sprawach rozporządzeń i zarządzeń. Decyzje Rady miały zapadać zwykłą większością głosów. Okazało się jednak w praktyce, że w Radzie Obrony Państwa, mimo większości przyznanej posłom, decydował o wszystkich sprawach Naczelnik Państwa, jako przewodniczący, zwłaszcza, że informacje udzielane Radzie były bardzo niedostateczne. Rada wychodziła poza właściwy zakres działania, o czem świadczyły n. p. rozporządzenie z 17 września 1920 (Nr. 91 Dz. U.), nakładające karę aresztu lub więzienia do lat trzech za obrazę Naczelnika Państwa słowem, okrzykiem, pismem, obrazem, rysunkiem i t. p., lub rozporządzenie z 11 sierpnia 1920 (Nr. 81 Dz. U.) o utworzeniu Trybunału Obrony Państwa celem sądzenia bez apelacji spraw wskazanych przez Radę Obrony Państwa o przestępstwa szczególnej wagi, popełnione przez osoby zajmujące stanowiska wyższe. Obydwa te rozporządzenia uchylił Sejm ustawami z 9 grudnia 1920 (Nr. 119 Dz. U.) i z 17 grudnia 1920 (Nr. 3 *ex* 1921) przed ostatecznem zawarciem pokoju.

Ustawiczne były tarcia między większością Sejmu a Naczelnikiem Państwa w sprawie polityki na kresach wschodnich i w ziemi wileńskiej, które nie zostały oddane przed wojną rosyjską w zarząd rządu polskiego. W sposób jaskrawy wystąpił konflikt wówczas, gdy zgromadzenie posłów Wileńszczyzny uchwaliło w dniu 20 lutego 1922 r. niemal jednogłośnie, że „ziemia wileńska bez warunków i zastrzeżeń stanowi nierozdzielną część Rzeczypospolitej Polskiej". Rząd nie chciał przyjąć tego oświadczenia i nakazał narzucić delegacji sejmu wileńskiego osobny statut autonomiczny dla ziemi wileńskiej. Bolesny ten zatarg zakończył się kompromisem w ten sposób, że delegacja wileńska pozostała przy swem oświadczeniu, rząd polski zaś oświadczył, że „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustali statut ziemi wileńskiej" i dopiero na takiej podstawie doszło do ustawy z 24 marca 1922 (Nr. 20 Dz. U.), w której Sejm przyjął „akt złączenia ziemi wileńskiej z Rzecząpospolitą Polską" i 20 delegatów Sejmu Wileńskiego uznał jako posłów Sejmu Ustawodawczego. Następną ustawą z 6 kwietnia 1922 (Nr. 26 Dz. U.) uchwalił Sejm bez żadnych zastrzeżeń i bez statutu autonomicznego objęcie władzy państwowej nad ziemią wileńską, wraz z trzema powiatami wschodniemi do niej przyłączonemi. Konflikt między Sejmem a Naczelnikiem Państwa przed wejściem w życie nowej Konstytucji wybuchł przy sposobności usunięcia bez wysłuchania Sejmu, rządu Ponikowskiego z ministrem skarbu Michalskim oraz z powodu wątpliwości

Naczelnika Państwa co do znaczenia słów t. zw. „małej Konstytucji“, że powoływanie rządu nastąpić winno na podstawie porozumienia z Sejmem. Wbrew dawniejszej praktyce Naczelnik Państwa uznał, że konwent przewodniczących (senjorów) nie jest w tej sprawie kompetentny; zmieniono z tego powodu regulamin sejmowy i wybrano osobną komisję „główną“, ale wątpliwości prawnych nie usunięto w całości. Nakoniec Naczelnik Państwa sprzeciwił się powołaniu rządu, za którym oświadczyła się większość Sejmu. Dało to powód do wniesienia w dniu 25 lipca 1922 przez Związek Ludowo-Narodowy, Chrześcijańską Demokrację i stron. Chrześć.-Narod. wniosku nagłego o wyrażenie nieufności Naczelnikowi Państwa „z powodu nieposzanowania praw Sejmu ustawodawczego, lekceważenia żywotnych interesów państwowych i pogłębienia przeciwieństw i walk partyjnych, przez co naraził Państwo na niepowetowane szkody moralne i materjalne“. (Druk Sejmowy Nr. 3683).

Nowy okres konfliktów konstytucyjnych przypada już na czasy pomajowe. Nie będę tu mówił o zamachu majowym, który jeden z posłów nazwał eufemicznie „demonstracją wojskową“, jakkolwiek faktycznie atmosfera tej „demonstracji“ zawisła ciężko nad całem naszem życiem publicznem i w tej mgławicy politycznej roi się ciągle od konfliktów konstytucyjnych. W miejsce wszechwładzy Sejmu w dawnym Sejmie konstytucyjnym wzrosła władza jednostki, pokryta formami konstytucyjnemi. Nowem źródłem konfliktów konstytucyjnych stała się ustawa prasowa z 2 sierpnia 1926 r. o upoważnieniu Prezydenta do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy (Nr. 78 Dz. U. P.). Ustawa ta bowiem, zredagowana na kolanie, bez uwzględnienia uprawnień Sejmu i rządu, uchwalona zwyczajną większością głosów, nastręczyła obszerne pole do samowładnych zarządzeń, przeciw którym bez Sejmu nie ma żadnego środka prawnego, albowiem nie mamy trybunału konstytucyjnego, a sądy wedle Konstytucji (art. 81) „nie mają prawa badać ważności ustaw należycie ogłoszonych“, jakkolwiek wedle art. 38 tejże Konstytucji „żadna ustawa nie może stać w sprzeczności z Konstytucją, ani naruszać jej postanowień“. Tak dzięki postanowieniom samejże Konstytucji otwarta została szeroka brama do wykroczeń konstytucyjnych.

Ze stanowiska konstytucyjnego podnieść można przedewszystkiem wątpliwość, podzielaną przez bardzo poważnych autorów z zakresu prawa państwowego, czy ważne są postanowienia ustawy mocodawczej z 2 sierpnia 1926, dające Prezydentowi upoważnienie do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy w zakresie administracji i sądownictwa, jeżeli Konstytucja przewiduje w tym celu wyraźnie wydanie u s t a w y. Rozporządzenia z mocą ustawy bowiem nie mogą wedle art. 44 Konstytucji zmieniać samej Konstytucji, są to przepisy wyjątkowe, muszą być ściśle interpretowane, ulegają też uchyleniu przez Sejm. Jeżeli więc Konstytucja wyraźnie postanawia, że n. p. organizacja sądów będzie określona w drodze ustawodawczej (art. 75), że wolność prasy jest poręczona i osobna ustawa określi odpowiedzialność za nadużycie tej wolności (art. 105), że stosunek państwa do Kościołów i wyznań będzie ustalony w drodze ustawowej (art. 115), że ustawa państwowa ustala corocznie budżet państwa na rok następny (art. 4), że zaciągnięcie pożyczki państwowej, jakoteż przyjęcie gwarancji finansowej przez państwo, może nastąpić tylko na mocy ustawy (art. 6), to w tych i w analogicznych wypadkach rodzi się najpierw pytanie wstępne, zasadnicze, a mianowicie, czy rząd może się powoływać na upoważnienie ustawy, która nie ma za sobą większości kwalifikowanej, potrzebnej do zmiany Konstytucji? Mojem zdaniem nawet wyraźne postanowienia ustawy mocodawczej nie mogą i nie mogłyby zmieniać postanowień Konstytucji, że w tych wszystkich wypadkach potrzebna jest ustawa, a nie wystarcza rozporządzenie z mocą ustawy. Ustaw wyjątkowych bowiem nie wolno interpretować w sposób rozszerzający. Dlatego wedle mojego zdania ze stanowiska konstytutycyjnego nie można uznać upoważnienie Prezydenta Rzeczypospolitej ani do reorganizacji sądownictwa, ani do ograniczania wolności prasy, ani do normowania stosunku Państwa do Kościołów i wyznań, ani do naruszania prawa budżetowego i zaciągania pożyczek nawet w takim razie, gdyby na podstawie takiej czy innej interpretacji można było wyczytać takie upoważnienie w postanowieniach ustawy z 2 sierpnia r. 1926. Pod tym względem nie podzielam stanowiska prawnego nie tylko rządu, ale i stronnictw sejmowych, które ustawę mocodawczą uchwalały. Słychać, że rząd nosi się z zamiarem przeprowadzenia drogą rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej reorganizacji sądownictwa i czasowego zawieszenia postanowień Konstytucji (art. 78) o nieusuwalności sędziów; wiadomo, że Prezydent wydał już dwukrotnie dekrety prasowe, ograniczające wolność prasy; wiadomo dalej, że rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej z dnia 14 października 1927, poz. 848, o uporządkowaniu stanu prawnego w organizacji gmin żydowskich na obszarze Rzeczypospolitej z wyjątkiem trzech województw zachodnich, udzielone zostały żydom prawa, jakich żadne wyznanie w państwie nie ma, mianowicie utworzenia związku religijnego publiczno-prawnego z prawami korporacyjnemi i z radą religijną na czele, która między innemi prawami uchwala budżet i opłaty oraz sposoby ich poboru, a jej uchwały oraz uchwały gmin wyznaniowych po ich zatwierdzeniu przez władzę nadzorczą będą wykonywane przez władze, powołane do ściągnięcia zaległych składek i opłat, na mocy rozporządzeń ministra wyznań i oświec. publicznego, wydanych w porozumieniu z ministrami spraw wewnętrznych i skarbu (art. 47); wiadomo również, że rozporządzenie Prezydenta Rzplitej z 13 października 1927 o planie stabilizacyjnym i zaciągnięciu pożyczki zagranicznej zawiera także postanowienia wchodzące w zakres budżetu państwowego i że preliminarz budżetowy, przedłożony sejmowi na r. 1928-1929 zawierał zmiany, w owym planie postanowione.

Nie mamy instancji prawnej, powołanej do rozstrzygnięcia powyższych wątpliwości prawnych. Nie jest nią także Sejm, którego działalność prawodawcza już przed upływem kadencji została faktycznie zawieszona. Dlatego przechodzę do tych konfliktów konstytucyjnych, jakie się już w Sejmie ujawniły i jakie należą do rzędu spraw dotąd nierozstrzygniętych.

Przedewszystkiem niedopuszczalna jest dowolna interpretacja postanowień art. 25 Konstytucji o zwoływaniu, otwieraniu, odraczaniu i zamykaniu Sejmu i Senatu przez Prezydenta Rzeczypospolitej. Są to uprawnienia formalne głowy państwa, ale nie oznaczają wcale prawa udaremniania działalności władzy prawodawczej. Przepisy takie istnieją w każdej Konstytucji, ale w żadnem państwie nie były w taki sposób stawiane jak u nas. Przez obezwładnienie Sejmu nie tylko stała się niemożliwa działalność ustawodawcza i kontrolująca z jego własnej inicjatywy, ale także ustalenie mocy rozporządzeń Prezydenta z mocą ustawy, które napływały ostatnio do Sejmu w znacznej ilości, ale nie mogły być wzięte pod konstytucyjną kontrolę. Nawet określenie stosunku Sejmu do rządu, żądanie uchyle-

nia pełnomocnictw, wyrażenie nieufności temu lub innemu ministrowi lub całemu rządowi stało się w ten sposób niemożliwe. Taka interpretacja jest zaprzeczeniem całego ustroju konstytucyjnego państwa i nie zasługuje nawet na miano „interpretacji“. Mamy więc tu do czynienia z jawnym konfliktem konstytucyjnym, ścieraniem się sił politycznych, z których siła słabsza, jaką się okazał Sejm w czasie wypadków majowych, ponosić musi konsekwencje swej ówczesnej słabości i lękliwości.

Drugi konkretny konflikt dotyczy interpretacji nowego postanowienia art. 44 Konstytucji, wedle którego „rozporządzenia z mocą ustawy tracą moc obowiązującą, jeżeli nie zostaną złożone Sejmowi w ciągu dni 14 po najbliższem posiedzeniu Sejmu lub jeżeli po złożeniu ich Sejmowi zostaną przez Sejm uchylone“. Po wydaniu pierwszego dekretu prasowego rząd zwlekał z przedłożeniem Sejmowi tego dekretu, wskutek czego Sejm, na wniosek partji socjalistycznej, nie czekając przedłożenia dekretu zabrał się do pracy i uchylił dekret ów w drodze ustawy, utrzymując jednak w zasadzie swoją wolę, wyrażoną w Konstytucji, ewentualnej zmiany takich dekretów w drodze zwyczajnej uchwały prawnej bez współdziałania Senatu. Drugi dekret prasowy został uchylony w drodze uchwały sejmowej, a ważność takiej uchwały zakwestjonował nie tylko rząd, ale także szereg sądów. Sądy powołują się na to, że uchwała Sejmu, nie ogłoszona w Dzienniku Ustaw, nie obowiązuje sądów. Zdaniem mojem ani rząd, ani sądy w tej sprawie nie mają słuszności, albowiem wola władzy prawodawczej, wyrażona w Konstytucji, jest niewątpliwą i nie jest wcale kwestjonowana przez Senat, jedynie kompetentną drugą Izbę. Niewątpliwie obowiązkiem rządu jest postarać się o ogłoszenie publiczne uchwał sejmowych w Dzienniku Ustaw, tak samo, jak postarał się o ogłaszanie w tym Dzienniku rozporządzeń Prezydenta Rzplitej z mocą ustawy i innych zarządzeń, chociaż ustawa o Dzienniku Ustaw takich rozporządzeń i takich uchwał sejmowych nie przewidywała. Ale niezależnie od tego, czy uchwały takie Sejmu są ogłoszone lub nie, obowiązkiem jest sądów badać, czy wszelkie ustawy lub rozporządzenia, mające charakter prowizoryczny lub warunkowy jeszcze obowiązują. Taki charakter mają właśnie rozporządzenia Prezydenta z mocą ustawy. Rzeczą sędziego więc jest przekonać się, czy rozporządzenie takie w terminie 14 dniowym zostało wniesione do Sejmu, chociaż o tem nie dowie się z Dziennika Ustaw i tak samo, czy Sejm je uchylił lub nie. Postanowienia każdej ustawy, a już zgoła Konstytucji, winny być wedle ogólnych zasad prawnych tak tłumaczone, aby było żywe, a nie martwe, zwłaszcza wtedy, gdy wola władzy prawodawczej jest niewątpliwą, jak w tym wypadku. Dlatego w tym wypadku nie byłoby „konfliktu“ konstytucyjnego, gdyby interpretacja ustaw była prawidłowa, niema bowiem nigdzie postanowienia, któreby krępowało sędziego w zastosowaniu przepisów obowiązujących, choćby nie ogłoszonych, n. p. prawa zwyczajowego, zwyczajów handlowych, a wedle niektórych ustaw nawet prawa „naturalnego“, czyli powszechnie uznanych zasad prawnych. Cała Konstytucja angielska opiera się na prawie zwyczajowem, a jednak nie daje prawa sędziom do uchylania się od rozpoznania jej postanowień, lubo nie są ogłoszone.

Nowy konflikt konstytucyjny wyszedł na jaw w komisji kontroli długów państwowych już w lipcu r. b., a ponowił się w październiku. Prezydent Rzeczypospolitej w myśl moich wywodów powyższych nie mógł otrzymać w drodze zwykłej ustawy mocodawczej upoważnienia do zaciągnięcia pożyczki i określenia jej celów bez osobnej ustawy. Ale stanąwszy na stanowisku przeciwnem, że upoważnienie takie byłoby prawnie dopuszczalne, to musiałoby być ono wyraźne, gdyż takich praw wyjątkowych, ograniczających prawa Sejmu, nie można wysnuwać w drodze sztucznych interpretacyj. Z ustawy mocodawczej z 2 sierpnia 1926 r. wysnuł rząd, Prokuratorja Generalna i jacyś, nieznani mi prawnicy, wniosek, że ustawa ta mieści w sobie *tacite* upoważnienie do zaciągania pożyczek, ponieważ upoważnia Prezydenta do wydawania „zarządzeń, zmierzających do zabezpieczenia równowagi budżetowej, stabilizacji waluty i naprawy stanu gospodarczego w państwie“ i ponieważ nie wymienia wyraźnie zaciągania pożyczek w rzędzie wyłączonych od pełnomocnictwa uprawnień, objętych art. 6 Konstytucji. Wobec tego jednak, że zaciągnięcie pożyczki nie jest wcale „zarządzeniem“ ale umową dwustronną, nakładającą na państwo zobowiązania, których cofnąć nie można; wobec tego dalej, że jest nie do pomyślenia, aby milcząco Sejm uchwalił pełnomocnictwo do zaciągnięcia pożyczki o nieograniczonej wysokości, jakkolwiek pełnomocnictwo takie udzielone poprzedniemu rządowi ustawą z 28 listopada 1925 przy określeniu wysokości pożyczki zagranicznej i jej celów wcale nie wygasło; wobec tego nakoniec, że przepisy wyjątkowe muszą być ściśle interpretowane, byłem i jestem zdania, że Prezydentowi Rzeczypospolitej nie przysługiwało prawo zaciągnięcia pożyczki i że rząd miał obowiązek zwrócić się do Sejmu, jeżeli chciał zmienić warunki pożyczki, przyzwolonej ustawą z 28 listopada 1925. Stanowisko prawne, przezemnie zajęte, podzieliła większość komisji wraz z przewodniczącym, zgodziła się jednak na podpisanie obligów pożyczki z powodu rozpisania już subskrypcji w kraju i zagranicą. Z tych powodów nie doszło w tej sprawie do konfliktu, jakkolwiek komisja kontroli długów uchwaliła złożyć sprawozdanie Sejmowi.

Na szereg nowych konfliktów konstytucyjnych zanosi się z powodu wykroczeń władz wykonawczych przeciw zasadom konstytucyjnym. Tak n. p. w Małopolsce rozwiązano Obóz Wielkiej Polski na podstawie przepisu policyjnego z r. 1854 (t. zw. *Prügelpatentu*) z czasów absolutnych, nie bacząc na to, że przepisy tego patentu o stowarzyszeniach i zgromadzeniach zostały uchylone przez austrjacką ustawę z r. 1867, zgodnie z Konstytucją i że Konstytucja polska poręcza w art. 108 wolność zawiązywania stowarzyszeń i związków, jakkolwiek ustawy państw zaborczych dotychczas nie doczekały się nowelizacji.

Na tem oświetleniu ważniejszych konfliktów konstytucyjnych pragnę poprzestać. Dla przyszłości państwa i życia konstytucyjnego najważniejszem jest zagadnienie, w jaki sposób zabezpieczyć państwo przed ciągłemi konfliktami konstytucyjnemi, które pogłębiają niepewność prawa i przyczyniają się do rozstroju społecznego. Są na to dwie drogi i dwa sposoby: jeden napozór łatwy i prosty, ale mniej skuteczny, drugi trwalszy i skuteczniejszy. Pierwszym sposobem byłoby powołanie do życia Trybunału Konstytucyjnego, którego wielokrotnie ale bezskutecznie domagaliśmy się. Nie należy jednak się łudzić, że Trybunał taki byłby skutecznym środkiem na wszelkie konflikty konstytucyjne. Trybunał Konstytucyjny, jak każdy trybunał sądowy byłby instancją skuteczną dla stron, które chcą się poddać jego wyrokowi, nie odwołując się do siły i nie unikając sposobów obejścia wyroku lub unicestwienia go. Nadto Trybunał taki, urządzony n. p. na wzór takiegoż trybunału w nowej Austrji, decydowałby tylko o zniesieniu rozporządzeń wydanych, jako

nieważnych, ale z powodu trudności prawnych utrzymywałby w mocy sprawy już załatwione. Dlatego trwałym i najskuteczniejszym sposobem jest tylko droga mozolna i długa, **wychowania narodu** do obrony praworządności i życia konstytutycyjnego. Dopóki naród nie ma świadomości, że konstytucja i prawo są elementarnemi podstawami wolności obywatelskiej i bytu państwowego, dopóki siła i przemoc fizyczna może triumfować nad prawem, dopóty wszelkie konstytucje i urządzenia państwowe mogą być nadużywane na rzecz żywiołów silniejszych lub bezwzględniejszych, dopóty znajdą się także pozory prawne dla pokrycia bezprawia.

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

OJCIEC BROWN

CZYTELNICY poetyckich powieści i opowiadań Chestertona znają dobrze Ojca Browna, znają i kochają z pewnością tę niepozorną postać katolickiego księdza w czarnej, wytartej sutannie, w kapeluszu o szerokich rondach i ze staromodnym parasolem pod pachą. Pamiętają zwłaszcza jego duże szare oczy i spojrzenie pełne pokory, „podobne spojrzenie miewają — powiada Chesterton — marynarze i ci, co wśród tylu burz dziejowych sterowali nawą Św. Piotra". Postać ta zjawia się zwykle niepostrzeżenie w opowiadaniach Chestertona, by rozwiązać najbardziej tajemnicze zagadki niepojętych zbrodni. Jest to słowem Sherlock Holmes naszego pisarza. Wydał on już cztery serje opowiadań o jego niezwykłych czynach i przygodach. Chesterton chętnie wprowadza detektywów do swoich powieści, zna gusty czytelnika angielskiego i, stosując się do nich pod względem formy, chce obudzić zainteresowanie czytelnika i zmusić do tego, by nabrał zaufania do dzieł, pełnych głębokiej poezji i filozoficznej myśli. Potrafił on w formie kryminalnego romansu, pełnego konspiratorów i detektywów, dać swe poglądy na świat i określić swój stosunek do Boga — mówimy o „Człowieku, który się nazywał Czwartkiem". Podobnie, kto chce poznać myśl Chestertona i charakter jego twórczości, ten musi przeczytać wspomniane cztery tomy: „Niewinność", „Niedowiarstwo", „Wiedzę" i „Tajemnicę Ojca Browna". Zwłaszcza ten ostatni, niedawno wydany „*The Secret of Father Brown*", w którym autor najjaśniej się tłumaczy i odsłania swój artystyczny zamiar.

Wspominając Sherlocka Holmsa, nie sądzimy, byśmy obniżali Ojca Browna. Bo dla uważnego czytelnika jest Sherlock czemś więcej, niż zajmującym detektywem i okazją do zainterosowania czytelnika. Opowiadania Conan Doyla uczą myśleć według zasad ścisłej logiki, uczą obserwować dokładnie i z obserwacji, drogą indukcji, wyprowadzać wnioski. Opowiadania te odsłaniają przed czytelnikiem metodę wiedzy pozytywnej, są ścisłem zastosowaniem tych metod, które panowały niepodzielnie w wieku XIX-ym i które dały tyle zdobyczy, lecz które ani na włos nie posunęły sprawy odpowiedzi na te zapytania, co nie przestają nas dręczyć — dlaczego człowiek żyje, według jakich zasad żyć powinien, co się stanie z człowiem po śmierci? Jest też wewnętrzna logika w tem, że Conan Doyle pod koniec życia porzucił swego bohatera i zajął się spirytyzmem. Jest w tem coś symbolicznego — człowiek wieku XIX-go, mimo wszystkich, tak zwanych, zdobyczy wiedzy, nie znajduje zadowolenia ani dla swej myśli, ani dla swych uczuć, chce wiedzieć, dlaczego istnieje i szuka Boga. Ludzie wychowani w materjalizmie XIX wieku zwracają się ku spirytyzmowi, teozofji, religjom wschodu, wiedzy tajemnej... Człowiek nowej epoki, zwiastun wieku XX-go zwraca się ku Chrystusowi, u przedstawicieli okresu najwyższego rozwoju ducha i myśli religijnej w Kościele katolickim okresu późnego średniowiecza szuka odpowiedzi na dręczące go pytania i ukojenia swych potrzeb ukochania czegoś większego ponad człowieka i sprawy świata widzialnego. Tak przeciwstawia się Ojciec Brown Sherlockowi Holmesowi...

Chesterton snuje ze swej wyobraźni szereg niezwykłych i niezwykle tajemniczych zbrodni. Policja i detektywi nie są zdolni rozwikłać iście gordyjskich węzłów. Wtedy zjawia się na scenie niepozorna figurka księdza z dużą głową na krótkich nogach, w wytartej sutannie, w dużym kapeluszu, z nieodłącznym parasolem pod pachą, i po pewnym czasie, nie patrząc nawet pozornie na miejsce i ludzi, wyjaśnia zagadkę. Jaką dochodzi do tego metodą? W tem tkwi sedno sprawy. Uważny czytelnik sam tę metodę odkryje, ułatwia nam jednak zadanie autor, który w ostatnim tomie przygód Ojca Browna odsłania nam jego tajemnicę. Robi to na swój sposób, wkładając w usta Ojca Browna, zapytanego na czem polego skuteczność jego metody i jak dochodzi on do wykrywania tylu morderstw, odpowiedź następującą:

— Widzi Pan, to ja sam zabiłem te ofiary.

Usłyszawszy rzecz podobną czytelnik jest zdziwiony, podobnie jak słuchacze poczciwego księdza, słucha tedy z ciekawością, wraz z nimi, dalszych jego wyjaśnień: „Gdy mówią, że kryminologja jest nauką, to rozumieją przez to obchodzenie człowieka nazewnątrz i studjowanie go jak jakiegoś olbrzymiego owada, w jasnem i objektywnem — jak oni powiadają — świetle, a co jabym nazwał w świetle martwem i nieludzkiem... Ja nie staram się być nazewnątrz człowieka. Ja staram się dostać do wnętrza zbrodniarza. Ja zawsze jestem wewnątrz człowieka, poruszając jego rękami i nogami. Czekam aż poczuję, że jestem wewnątrz człowieka, że myślę jego myślą, że żyję jego namiętnościami. Czekam aż poczuję jego nienawiść, aż ujrzę świat przez jego nabiegłe krwią oczy... aż sam się stanę rzeczywiście mordercą".

Teraz rozumiemy co znaczy paradoks Ojca Browna. Jego badanie obraca się w świecie ducha, stara się on przedewszystkiem odgadnąć duszę. A potem jest pełen współczucia dla ludzi, nawet dla zbrodniarzy. Teraz rozumiemy, dlaczego bohater opowiadań Chestertona jest księdzem katolickim, przedstawicielem instytucji, która opiera się na, głębokiem zrozumieniu duszy ludzkiej, na tem, co Francuzi nazywają *charité*, a co nie da się tłumaczyć ani przez litość, ani przez współczucie, na idei grzechu pierworodnego i przebaczenia grzechów... W naszym języku najodpowiedniejszym byłby tu wyraz — **miłosierdzie**. Chesterton jest przedstawicielem nowej epoki, wrogiem zamykającego się okresu w życiu ludów europejskich, okresu materjalizmu i indywidualizmu, który załamał się w tej wielkiej katastrofie, jaką była wojna światowa i następujące po niej przewroty, wśród których żyjemy. Jest prorokiem poetyckim czasów nowych.

Wypowiedział się on z pewnością pełniej i jaśniej w szeregu dzieł większych i bardziej wykończonych, lecz najwięcej bodaj uczucia włożył w te małe i skrom-

ne opowiadania o poczynaniach Ojca Browna. Dla nas są one też pełne wdzięku, czujemy w nich kochające ludzi serce Chestertona i jego wielką dla słabości ludzkich wyrozumiałość, rozkoszujemy się prostotą jego poetyckiego ducha. W Ojcu Brownie czujemy rękę instytucji, która tyle pociechy dała strapionym sercom ludzkim i wskazywała im zawsze jasno, na czem polega różnica między złem a dobrem. Postać tego skromnego księdza urasta do potęgi symbolu...

A metoda Ojca Browna? Metoda ta jest nietylko metodą wykrywania zbrodni, zawierają się w niej środki artystyczne samego Chestertona. Przeciętny przechodzień, gdy spotka jego okazałą postać na ulicach Londynu, dostrzega tylko grubego, roztargnionego Pana; nieuk, lub bezmyślny czytelnik jego książek, będzie w nim widział tylko humorystę i paradoksistę; lecz ci, co się zżyli z jego dziełami, wiedzą, że przez te jasne, wesołe oczy patrzy na świat dusza poety i myśliciela, a nadewszystko dusza człowieka rozumiejącego i kochającego ludzkość, nie jako martwą abstrakcję, lecz jako zbiorowisko ułomnych i cierpiących ludzi, będących jednak dziełami Boga.

Czytajcie opowiadania o przygodach Ojca Browna a staniecie się lepsi.

STANISŁAW KOZICKI

WSPOMNIENIA O REYMONCIE

POZNAŁEM Reymonta w Paryżu na początku roku 1898. Był już sławny, bo dopiero niedawno po „Komedjantce“, „Fermentach“, nowelach ogłosił „Ziemię Obiecaną“, za którą ówczesne młode pokolenie witało w nim nową gwiazdę pierwszej już wielkości, zbliżającą się do Prusa i Sienkiewicza. Dorówna im — mówiono — a zapewne i przewyższy, bo jest młody, pełen talentu widzenia i ciekawy na życie.

Mieszkałem wtedy razem z dr. Stanisławem Ciechanowskim, który specjalizował się w anatomji patologicznej, przy maleńkiej uliczce Le Goff niedaleko Panteonu w pensjonacie pani Cambrai, noszącym szumną nazwę *Hôtel du Brésil.*

Do śniadania w południe i do obiadu wieczorem zasiadało międzynarodowe towarzystwo studentów: dwóch Rumunów, Szwed, Bułgar, Kolumbijczyk, nas dwóch Polaków i stary rentjer p. Garzend z południa Francji. Przychodzili też goście z poza pensjonatu, jak krakowianka panna Mien, malarka i inni.

Raz weszło dwóch obcych panów na obiad: jeden wzrostu wysokiego, elegancki, dystyngowany, pełen pewności siebie blondyn, z dużą, ale starannie w tył zaczesaną czupryną i z piękną, wypielęgnowaną brodą, *à la* krakowski młody doktór (tak się to podówczas nazywało). Drugi mniej pokaźny, niższy i krępy, o twarzy prawie okrągłej, ciemnych, prawie czarnych, gęstych włosach, zarzuconych w tył, o dość dużych ciemnych wąsach i bródce *à la* Napoleon III, przyciętej w szpic, aby wydłużyć okrągłą twarz, był jakgdyby nieśmiały, a ciekawy. Nerwowym ruchem poprawiał niesforne binokle a ilekroć na coś zwrócił uwagę, podnosił twarz do góry, jak człowiek, który przywykł do tego, że jest najmniejszy w otoczeniu i zadziera głowę, aby mu dorównać.

Byli to p. Jan Lorentowicz i Reymont. Kiedy ci panowie zauważyli, że my obaj z dr. Ciechanowskim, o ile nie bierzemy udziału w ogólnej rozmowie francuskiej, rozmawiamy z sobą po polsku, zbliżyli się do nas i w ten sposób powstała nowa znajomość. Jeżeli mówię: zbliżyli się, mówię nieściśle. Reymont poszedł tylko za przykładem p. Lorentowicza, miał wzięcie dziecka, które się trzyma fartucha matki. Było to zrozumiałe, bo nie umiał wtedy po francusku i musiał korzystać z opieki p. Lorentowicza, który władał francuszczyzną poprawnie i z pewnością nietylko gramatyczną.

Odtąd przez kilka miesięcy obaj panowie przychodzili regularnie w południe na śniadania i prawie regularnie na wieczorne obiady.

Prezydowała nadmiernie otyła właścicielka pani Cambrai, dochodząca może sześćdziesiątki, śledząc wytrzeszczonemi oczyma poruszeń służącej, która roznosiła dania na półmisku. Na podołku trzymała dwa zdegenerowane pieski, czarnego *Toutou* i brunatnego *Tédé*, wypielęgnowane, kąpane codziennie, obdarzane ciastkami przy stole i godzone, jeżeli się poróżniły. Stanowiły one może jedyny przedmiot zajęcia dla serca i intellektu p. Cambrai, ponieważ prawie codziennie podawała gościom do wiadomości stan ich zdrowia. Kto chciał zasłużyć na względy p. Cambrai, interesował się jej pieskami, zresztą niedostępnemi dla obcych. Wiedzieliśmy, który student zalega z opłatą, bo zaczynał poważną rozmowę o pieskach z gospodynią, aby ją usposobić życzliwie.

Stary p. Garzend najwięcej interesował się temi pieskami. Był to człowiek z górą sześćdziesięcioletni. Bardzo brudną serwetę zakładał pod obie pachy, otulając w nią kamizelkę i zajadał z żarłocznością.

Podczas obiadu, po pieczeni, następowała najuroczystsza chwila przyrządzania sałaty. Pani Cambrai własnoręcznie mieszała oliwę z pieprzem, solą i octem, wylewała ją do wazy z sałatą; drewnianą łyżką i drewnianym widelcem mieszała w wazie i dopiero ukończywszy ceremonje, kazała służącej obnosić. Sprawowała ten urząd z arcykapłańskiem namaszczeniem, jakgdyby jakąś celebrę. Na ten temat puszczaliśmy nieraz dowcipy. Nasz śmiech irytował bardzo pana Garzend.

Raz też wyniknęła z tego mała awanturka. P. Garzend powiedział o polszczyźnie, że to jest *„une langue de chien“*, na co p. Lorentowicz wyciął mu tak mocną reprymendę, że stary brudas zaręczał najuroczyściej, iż tak nie mówił, że powiedział tylko, iż to jest *„une chienne de langue“* czyli bardzo trudny język i t. d. Bułgar i Szwed również na starego wsiedli i po jego bardzo pokornych ekskuzach sprawa została załatwiona.

Reymont patrzył i słuchał. Myślałem, ze wsłuchuje się w obcą sobie francuszczyznę. Gdyby tak było, to w naszem towarzystwie nie wieleby skorzystał. Z wyjątkiem Polaków wszyscy wymawiali francuszczyznę straszliwie...

P. Lorentowicz, jako solidny i systematyczny człowiek, miał dokładnie ułożony rozdział zajęć i nader rzadko odstępował od niego. To też nie mógł nieraz dotrzymywać towarzystwa Reymontowi. Ten znowu wstawał rano i pisywał przy świetle czasami aż do południa, wskutek czego przychodził na śniadanie prawie wyczerpany. Chętnie więc po jedzeniu jeszcze trochę wypoczywał. Posyłał wtedy partjami „Chłopów“ do „Tygodnika Illustrowanego“. Ale nie odczytał mi nigdy ani litery, jakgdyby się wstydził.

Nieraz wychodziliśmy we dwójkę na miasto. Ja, jako historyk sztuk pięknych, lubiłem objaśniać architekturę, rozwój linij i zarysów, oznaczać wedle tego epoki i t. d. Słuchał tych wywodów, zwłaszcza w *Nôtre Dame*, *St. Germain* i *St. Chapelle*, ale nie znać było na nim wielkiego zaciekawienia. Wolał, żebyśmy się wywindowali na południową wieżę *Nôtre Dame* i na dachowej platformie zapalili papierosy, patrząc na zieloną Sekwanę pod stopami. Słuchał i patrzył, a mówił mało. Był w rozmowie prawie niezaradny. Nie słyszałem z jego ust żadnego zdania o sztuce, niechby tylko o sztuce pisarskiej.

Bardzo trudno oddać to wrażenie, jakie robił. Nie robił z siebie ani proroka, ani kapłana czy filozofa sztuki, ani nawet twórcy. Wyglądało to tak, jak gdyby nic go nie obchodziło poza samą robotą konkretyzowania pomysłów, czyli poza rzemiosłem tworzenia. Dlatego, jeżeli wchodziłem na filozofowanie, czy dyskutowanie o sztuce, patrzył na mnie ponad szkła binokli, jako na jakiś okaz nie z jego świata. A trzeba pamiętać, że był to czas, gdzie młodzież, zaczynając uniwersytet dyskutowała o religji, Bogu, duszy, obalając te pojęcia na rzecz büchnerowskiego materjalizmu — kończąc zaś uniwersytet, ogromnie gadała o sztuce, sztuce nowej, szatańskiej, sztuce nagiej duszy i t. d. Skandynawcy z Ibsenem i Björnsenem oraz Przybyszewskim — symboliści z Mallarmé'm i Maeterlinckiem, zawracali głowy nowościami, przewrotem, „przewartościowaniem wartości".

Zdawało się, jak gdyby o tem wszystkiem czy nie wiedział, czy tylko nie miał czasu myśleć. Robił na mnie wrażenie odludka, choć lubił towarzystwo, ponieważ nic w towarzystwo nie wnosił, niczego z siebie nie udzielał. Nie chodzi o osobiste zwierzenia, ale nie zwierzał niczego ze swoich zajęć, zainteresowań, a tem mniej pomysłów. Patrzył i słuchał. „Chłop to zdrowe bydlę", „mocny gatunek", oto prawie wszystko, co mogłem spamiętać.

Do pani Cambrai przyjechała jej kuzynka, młoda wdzięczna Angieleczka, panna Winifred Potter z Portsmouth czy Plymouth i zatrzymała się przez kilka dni w Paryżu, po drodze do Rzymu, gdzie miała być guwernantką u pp. Imperiali. Na nas, mających mało czasu i pieniędzy, a więc pozbawionych niewieściego towarzystwa, zrobiło to wdzięczne zjawisko bardzo wielkie wrażenie. Kiedy spostrzegł i u mnie duże zainteresowanie, powiedział:

— Żeńcie się. Mocne dzieci z takiej polsko-angielskiej mieszaniny. Zdrowa rasa, będą tęgie draby, a takich w Polsce potrzeba.

Wiedziałem, że bardzo pracuje. Po przechadzce szedł do siebie o trzeciej lub czwartej i pisał do obiadu. Musiał więc mieć głowę, pełną pomysłów, postaci ludzkich, zdarzeń, powiedzeń. Ale nic z tego nie przesiąkało nazewnątrz, nawet wtedy, kiedy się „flanowało" we dwójkę.

Nie wiem, czy co czytał. Rodziła się wtedy w Paryżu reakcja przeciw materjalizmowi. Brunetière pisał katolickie krytyki; Haraucourt poezje, natchnione uczuciem poprostu religijnem; Huysmans został trapistą i ogłosił nudną „*La Cathédrale*", którą dla odmiany smaku zachwycano się przez snobizm czy przekorę. Sprzykrzyło się „bydlę ludzkie" i szukano duszy. Młodzież była bezreligijna, beznarodowa i mocno radykalna czy socjalistyczna. Ale czasy Zoli już się kończyły. Oglądano się za czemś nowem.

Nie brak było i kabotynów, wyzyskujących potrzebę dnia. Jakiś nieduk, którego nazwiska zapomniałem, przybrał merowińskie przezwisko „*Mérovac*" dodał sobie tytuł: *homme des Cathédrales* pod wpływem Huysmausa i zaczął się robić stylowym. Zapuścił brodę „średniowieczną", sprawił sobie oryginalny czasny płaszcz studenta Sorbony, *clericusa* z XIII wieku i zamieszkał na pierwszem piętrze północnej wieży *Nôtre Dame* pod dzwonem. Dzwonić nie było wtedy wolno w Paryżu, ażeby nie drażnić laickich nerwów republikanów, zaczem niemy dzwon mógł zastępować baldachim nad łóżkiem. Tam więc siadywał pan Mérovac, ciągle rysując piórkiem nieudatne gryzmoły, mające przedstawiać jego wizje katedr. Było to bardzo proste: nieskończona ilość dwóch kreseczek, zakończonych u góry ostrołukowo, poustawianych obok siebie i nad sobą, dawała kontur dwuwieżowej katedry.

Jegomość ten przychodził do nas i ciągle mówił o swoich *cathédrales*. Rysunki przehandlowywał. Paryż, lubiący osobliwości i oryginalności, interesował się nim do tego stopnia, że jakiś literat uznał za dobry interes napisać o nim książkę — i interes zrobił.

U nas jednak szczęścia nie znajdował: kolumbijski doktorand p. Montana, rysunku nie kupił, tylko chciał mu ofiarować jałmużnę, skoro żebrze. Reymont uznał go wprost za oszusta, a Dr. Ciechanowski za trochę zboczonego, który nie umie udać całego warjata. Mnie się uczepił dłużej, bo mu wykazywałem architektonicznie niedorzeczność jego rysunków.

W chwilach wypoczynku Reymont lubił bardzo słuchać rozmów, opowiadań, anegdot. Czasami i sam dał się pociągnąć na anegdotę, jeżeli był pewny, że jest naprawdę nieznana.

Raz więc poszliśmy we czwórkę do cukierni Mahieu przy Boulevard St. Michel, bo tam było rzadkie podówczas w Paryżu piwo. Był wtedy obyczaj, że trunki przynosił kelner na spodeczku, na którym była wypisana cena napitku i ten spodeczek zostawał przy gościu dla rachunku. W miarę wychylania szklanek spodki układało się jeden na drugim. Wesoło nam było, zaczem kolumny spodków wyrastały na naszym stole do zadziwiającej wysokości. Wreszcie widok stał się tak niezwykły, że nasz gospodarz, zachwycony utargiem, przyszedł nam zrobić komplement i z uśmiechem uznania zapytał:

— Panowie pewnie są niemieckimi studentami?

— Cóż znowu! zawołaliśmy z oburzeniem — nigdy.

— A to panowie z pewnością są Polacy.

Skrzywiliśmy się na tę uzasadnioną bystrość, zapłaciliśmy, a Reymont powiedział:

— Ten nam nie opowiedział, ale zrobił najlepszą anegdotę.

Jeżeli tak z naszych skąpych i niebłyskotliwych wspomnień chciałbym wyciągnąć jakiś wniosek, to mógłbym tylko tak go wyrazić:

Reymont przedstawia mi się jako żywiołowa siła tworzenia, nieświadoma, nierozważająca samej siebie. Miał w sobie coś z owego wiejskiego chłopaka, co pierwszy raz przyjechał do miasta, patrzy, wypytuje, dziwuje się i pamięta, stara się zapamiętać wszystko, aby po powrocie na wieś dokumentnie opowiedzieć, co widział. Reymont przypatruje się życiu w teatrze, na wsi, na kolei, w fabryce, w lesie, na Podlasiu, wszędzie przypatruje się i dobrze pamięta. Jego lektura zastępuje rozpytywanie, tam, gdzie wprost pytać nie można o życie. I zapamiętawszy kulisy, Lipce, Łódź i t. d. opowiada, co widział i słyszał, a opowiadając stwarza dziwa mocy, prawdy i piękna.

JAN ZAMORSKI

SENTENCJE I PARADOKSY

O DWU tylko rzeczach łatwo ludzi przekonać: o ich krzywdach, choćby tych przedtem wcale nie odczuwali, oraz o ich rozumie, choćby o nim przedtem wątpili.

98.*) Sztuka życia polega na świadomem lekceważeniu drobnych przykrości i na wynajdywaniu przyjemnych wrażeń z pośród wszystkiego, co nas otacza. Im wszechstronniej wykształcony człowiek, tem łatwiej mu to przychodzi.

99. Domaganie się równości jest pokrywką dążenia do przewagi nad innymi: Równość nikomu nie wystarcza.

100. Dyskusja nad najlepszą formą rządu trwa już dwadzieścia pięć wieków i pewnie nie prędko się skończy, bo nie brak dla każdej przykładów *pro* i *contra*. Jeden wniosek jest zatem pewny, że chodzi tylko o jakość rządzących.

101. Niema despotyzmu tłumu, ani despotyzmu jednostek w ścisłem tego słowa znaczeniu, istnieje tylko despotyzm kilki związanej wspólnym interesem.

102. Codzienny, stały i celowy wysiłek lepiej świadczy o żywotności narodu, niż porywy bohaterstwa.

103. Kto pragnie żyć długo, musi o tem zawczasu myśleć i ciągle myśleć. Ponieważ nikt tego nie czyni, długowieczność jest tylko przypadkiem zamiast być regułą.

104. Grosz wdowi jest chwalebniejszy, ale miljon amerykańskiego wujaszka jest skuteczniejszy.

105. Jest coś świętego w człowieku, który nie zostawia potomstwa, a przecież troszczy się o przyszłe pokolenie.

106. Każde pokolenie ma swoją myśl przewodnią. Co innego nas przedewszystkiem zajmuje, a co innego przejmowało naszych przodków. A mimo to w współczesnych ocenach dawnych autorów, odzywa się echo wrażenia, jakie ich dzieła wywierały na pokoleniu, dla którego były pisane. Tak bardzo boimy się własnego zdania, gdy jest cudze gotowe i powszechnie przyjęte.

107. Zarozumiałość jest niewyczerpanem źródłem rozkoszy dla szczęśliwych i silnych, a stałą pociechą dla maluczkich i strapionych.

108. Gdyby ludzie mogli poznać siebie samych, ilość samobójstw znacznieby się zwiększyła.

109. Jeden krok tylko od miłości do nienawiści, ale cała przepaść od nienawiści do miłości.

110. Zdarzają się ludzie jakby stworzeni do niewoli, dla których wolność jest zagładą.

111. Kto buduje na głupocie ludzkiej, buduje pewnie i trwale.

112. Wielkie i wzniosłe idee są tylko godłem wiekopomnych czynów i zdarzeń — silne namiętności i pożądania ich istotną przyczyną.

113. Człowiek zubożały, to moneta zdawkowa wyszła z obiegu.

114. Dobrobyt materjalny nie jest sam przez się szczęściem, lecz jest drabiną do szczęścia i kultury, tak dla jednostek, jak dla narodów.

115. Miłość macierzyńska jest ogromną zaletą, ale cnotą jeszcze nie jest. Cnota wymaga przezwyciężenia siebie samego.

116. Nie zna rozkoszy, płynącej z czytania pięknego utworu, kto tylko czyta, a nigdy nie wczytuje się.

117. Bieda przykuwa ludzi do miejsca, a nędza ich z miejsca wygania.

118. Każdy rad wierzy, że jest wyjątkiem, w najgorszym razie przynajmniej wyjątkową ofiarą losu.

119. Gdy chodzi o cudze szczęście, wymagania nasze są bardzo skromne.

120. Jesteśmy wszyscy skazańcami i wolno nam tylko starać się o odroczenie egzekucji... wstawiać się zaś za nami skutecznie może tylko hygjena.

121. Najlepiej wyśpi się ten, komu inni pościelą, bo będzie się mógł wcześnie położyć.

122. Najśmielej wygłaszamy cudze zdania, bo wiemy, jakie wywołają wrażenie.

123. Rekord zbrodni da się zawsze pobić; poświęcenie i bohaterstwo mają określone granice.

124. Ten zasiał, choć nie wiedział, że sieje, ów siał całe życie, lecz ziarno nie powschodziło.

125. Człowiek o zmiennem usposobieniu, to zły materjał na przyjaciela, ale jako wróg jest mniej niebezpieczny od innych ludzi.

126. Uczciwość tylko u nielicznych jednostek staje się sprawą sumienia, zwykle jest jedynie nakazem towarzyskiego konwenansu.

127. Dzięki przyzwyczajeniu i powtarzaniu najgrubsze przesądy nabierają w naszych oczach smaku prawdy.

128. Cudze kłopoty sprawiają nam czasem przykrość, ale snu nam nie odbierają.

129. Każdy rad rządzić choćby stadkiem gęsi, byle jakąś władzę wykonywać.

130. Z obawy przed możliwem niebezpieczeństwem narażamy się niekiedy na pewną zgubę.

131. Zarodki najgorszych wad tkwią i w najlepszym z nas.

132. Kto sobie robi z lekkiem sercem wrogów w najbliższem otoczeniu, może być mimo to niezłym człowiekiem, ale napewno brak mu inteligencji.

133. Można poświęcić przyjaciela dla dowcipu, o ile przyjaciel jest marny, a dowcip doskonały.

134. Cnota jest to spełnienie obowiązku przykrego lub niebezpiecznego, włożonego dobrowolnie na siebie, bez nadziei nagrody w jakiejkolwiekbądź postaci.

135. Żeby zwyciężyć w walce życiowej, trzeba prowadzić ustawiczną ofensywę i zawczasu gromadzić rezerwy.

136. Wyniosłość względem niższych od siebie i wyzysk słabych to najskuteczniejsza propaganda wywrotowa.

137. Kto ziemię uważa jedynie za lokatę kapitału i spekuluje nią, kto jej nie kocha, nie ulepsza pieczołowicie i nie upiększa, kto w niej mieszka, jak na popasie, ten niech się nie dziwi reformie rolnej.

138. Smutne czasy! Na każdym porządnym człowieku czapka gore.

139. Filozofja jest środkiem znieczulającym na cierpienia moralne; niestety cena tego lekarstwa jest dla wielu nieprzystępna.

140. Jeżeli na co przyjemnie narzekać, to na zazdrość ludzką.

141. Kura oznajmia wszem wobec głośno o zniesieniu jajka, lwica czeka spokojnie, aż lwiątko samo zaryczy.

142. Żołnierz bez honoru podobny do świecy bez knota.

Kielce FELIKS CHWALIBÓG

*) Ob. nr. 19 „Myśli Narodowej" z r. 1927.

LIBERUM VETO

Rozejście się bohaterów nieuwieńczonych.— Rozmowa w barze Pod Batem. — Przed wyborami. — Rzeczywisty Polak rzeczywisty obywatel i rzeczywisty działacz społeczny przeniesiony w stan spoczynku.

JEDYNEM zajęciem naszego parlamentu w ostatnich miesiącach jego istnienia było pobieranie dyjet. Zajęcie bardzo przyjemne i nienużące; nic też dziwnego, że nieboszczyk nie chciał sam skrócić swego nieświętej pamięci żywota i dotrwał do ostatniej chwili cierpliwego znoszenia zniewag. Ta przedśmiertelna, płatna a przymusowa bezczynność tak uraziła wrażliwsze poczucie godności niektórych senatorów, że zrzekli się swych pensyj za ten czas i przeznaczyli je na cele publiczne. Inni odebrawszy swoje „siedziane", rozproszyli się po kraju jak martwe liście jesienne. Żadnego uroczystego pożegnania ani w kościele, ani w sali biesiadnej nie było. Podobno tylko garść tak zwanych po niemiecku *„jasagerów"*, posłów, którzy przy głosowaniach na wnioski rządowe mówią zawsze tak, zebrała się w barze „Pod Batem", gdzie popijając koktail, mieszaninę wódki, octu, baraniego łoju i asafetydy, rozprawiała o przyszłych wyborach. Gdy się dobrze uraczyli, zaczęła się rozmowa w tonie eligijnym.

— Jaka to prawda — rzekł jeden — że nie trzeba pluć w studnię, z której się będzie piło. Ile to my naurągaliśmy Bismarkowi, gdy rzucił hasło: siła przed prawem! Tymczasem to nie jest paradoks, to jest dogmat.

— Święty dogmat!—wykrzyknął drugi.—Właściwą naszą konstytucją jest obecnie Talmud.—Otóż przysłowie żydowskie mówi: „To samo słońce czyni murzyna czarnym, a płótno — białem". Siła przed prawem robiła śród nas nicponiów, ale również wiernych służących.

— I spożywców — dodał ktoś. — Bądźmy szczerzy a nadewszystko wdzięczni, bo przecie nie odeszliśmy głodni, owszem, bardzo syci.

— Niewątpliwie, ale przyznajcie, że ta służba była nieraz ciężka. Pewien mądry żyd poseł, gdy mu się skarżyłem, przytoczył mi inne przysłowie: „Nie bądź słodkim, bo cię zjedzą i nie bądź gorzkim, bo cię wyplują". Czasem rzeczywiście nic niewiadomo było, jakim trzeba być, ażeby nie być ani zjedzonym, ani wyplutym.

— Wiecie co mi krzyknął przy rozstaniu jeden złośliwiec z chjeny? *Oleum et operam perdidi.* Nie wiedziałem, co to znaczy, bom nie filolog, ale mi wytłumaczył nasz wiceprezes, że tak się wyraziła w jakiejś komedji łacińskiej nierządnica, która daremnie utrefiła się, gdyż nikt jej nie wziął.

— Gad z tego samego gniazda syknął do mnie: Wyglądacie teraz jak owe szczury, które związały się ogonami, ażeby zrobić powróz któryby sięgnął do nieba i pozwolił im tam się dostać. Jak honor kocham, przez całe pięć lat posłowania udało mi się zaledwie otrzymać dwie niezłe dostawy, trzy monopole i jedną posadę dla krewnych.

— No i bezzwrotną pożyczkę z banku, ośrodek z kawałkiem lasu.

— Prawda, nie zapieram. Ale niezawsze byli szczodrzy. Przez cały rok chodziłem, pisałem, sam i z senatorem, ażeby ministerjum kolei nabyło od pewnego poważnego przemysłowca porządną, tylko nieco podupadłą fabrykę obręczy do beczek, którą łatwo można było przerobić na fabrykę obręczy do kół wagonowych — nic nie wskórałem. Szelma jeden twardy dyrektor departamentu nie dał się skruszyć, pomimo że mu groziłem wpływami naszej partji. Nie i nie, chociaż otrzymał wink z góry.

— O zdarzają się tacy, ja także doświadczyłem. Jeden z takich panów powiedział, gdy mu przedstawiłem korzyści dla Polski w wydzielaniu nam kawałku lasów tatrzańskich. Cyrce zamieniła towarzyszów Ulisesa w świnie, ale on postarał się, ażeby im przywróciła ludzką postać. Co to znaczyło i jaki miało związek z lasem tatrzańskim — dotąd nie rozumiem.

— To może i lepiej — wtrącił ktoś z boku.

— Panie profesorze, czy to jest prawda, że gdyby w Anglji policjant niesłusznie zaaresztował kogoś na ulicy, odprowadził go do komisarjatu, tam go uwięziono, policjant, urzędnik, który aresztowanego przyjął i ten, kto go zamknął — wszyscy byliby ukarani?

— Podobno.

— I że nawet żołnierz nie tylko może, ale obowiązany jest nieusłuchać oficera, jeśli ten da mu rozkaz nieprawny?

— Podobno.

— Może tam przyjemnie żyć, ale nieprzyjemnie rządzić.

— To też, panowie, wystąpmy do wyborów z hasłem: precz z konstytucją, precz z legalizmem, precz z prawem martwem, niech nam panuje i nami rządzi prawo żywe, które jest w żywym człowieku, w Nim! Trzeźwi, podchmieleni i pijani wyszli z baru „Pod Batem" i rozproszyli się. Dwaj zaprzyjaźnieni — z których jeden stąpał prosto z drogi, podtrzymywany pod ramieniem—idąc krzywo, rozmawiawiali półgłosem.

— Czem się zająć, zanim przyjdą wybory? —zapytał przytomny. — He, he, he — odrzekł drugi — dowiedz się, gdzie płacą, obiecują i dotrzymują.

Przyznam się, że nie zgaduję, jaki będzie przyszły Sejm, ale wiem napewno, jakim nie będzie. Bo trudno powiedzieć, jaki będzię plon z zasianej pszenicy, ale niema wątpliwości, że nie urodzi się kukurydza. Nie agitacja, nie demagogja, nie ordynacja wyborcza nie oszustwa dają nam taki Sejm, jaki mieliśmy dwukrotnie i jaki prawdopodobnie może będziemy mieli, ale społeczeństwo, wychowane w niewoli, zdemoralizowane wojną, zdurzone kłamstwami, zezwierzęcone podłościami i steroryzowane groźbami. Po raz setny wypowiadam moje przekonanie, że te warstwy, które w przeszłość kierowały losami naszego narodu i które nim rządzą obecnie, nie posiadają w swej masie zdolności państwowych. Polska dotąd nie jest państwem w stylu zachodnio-europejskim i nim nie będzie, dopóki nie wypłyną na wierzch żywioły pogrążone w ciemnej głębi i nie połączą się z nimi nowe pokolenia inteligencji, które nie przeszły niewoli i jej skutków. Daremne, bo bezsilne i bezpływowe pozostaną wszystkie najszlachetniejsze i najwymowniejsze odezwy, podniety, zachęty i napomnienia, w naszym obecnym budynku państwowym długo jeszcze rezonans mieć będą tylko głosy najohydniejszej demagogji i najbrutalniejszej siły.

Gdyby „Monitor" miał ilustracje, powinienby na karcie tytułowej odbić „Pochód na Wawel" Szymanowskiego. Od roku bowiem idzie ku spoczynkowi długi, dotąd nieskończony szereg postaci, między któremi znajdują się ukoronowane wielką zasługą obywatelską. Należy do nich świeżo przeniesiony „w stan nieczynny" wojewoda warszawski Sołtan. Zbliska miałem sposobność przyjrzeć mu się mało, ale zdaleka—wiele. Wszyscy wiemy, że niebo naszej administracji zewiera ogromną ilość gwiazd ciemnych. Otóż p. Sołtan był gwiazdą jasną pierwszorzędnej wielkości, silnego i czystego światła.

Rzeczywiście rozumny, rzeczywiście prawy, rzeczywiście czynny, rzeczywiście wolny od jakiegokolwiek sekciarstwa polityczno-społecznego. Był to na swem stanowisku nie partyjnik, nie bezduszny urzędnik, nie dygnitarz wznoszący rozmodlone oczy ku hierarchicznej górze, a przygniatający brutalną stopą podwładny dół, ale sprawny organ rządu, a przytem wielostronny działacz społeczny, rzetelny obywatel kraju, prawdziwy Polak w najszlachetniejszym stylu.

Nie zrzucił i nie zmienił skóry, nie odmówił nakazanych pacierzy w sezonowych kapliczkach urzędowych, ale wyznawał zawsze jedną wiarę patrjotyzmu, obejmującego swą miłością i troską cały naród we wszystkich jego odłamach. Marząc o lepszej przyszłości, śród związanych z nią pragnień powinniśmy życzyć Polsce, ażeby ona doczekała tego czasu, kiedy tacy ludzie będą powołani do służenia jej, póki im sił starczy a kiedy strudzeni pracą odchodzić będą na spoczynek, społeczeństwo pożegna ich ze czcią i wdzięcznością. A może nawet Sołtan doczeka tej chwili i powróci do swej służby ojczyźnie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

DMOWSKI O SWEJ NAGRODZIE LITERACKIEJ

Dnia 6 grudnia odbyło się na ratuszu poznańskim uroczyste wręczenie nagrody literackiej im. Jana Kasprowicza Romanowi Dmowskiemu. Do Laureata w pięknych słowach przemówił prezydent miasta Cyryl Ratajski. „Wiemy dobrze, — mówił — że jeśli mogliśmy przed dziesięciu laty z tego prastarego ratusza strącić pogardliwie zawieszoną nad orłem naszym koronę cesarską... to w znacznej, a może przeważającej mierze zawdzięczamy to Twojemu, Czcigodny Panie, działaniu — Twojej myśli głębokiej, Twojej nieugiętej woli“.

Odpowiadając Roman Dmowski wygłosił szereg głębokich uwag o swojem pojmowaniu zadań pisarza polskiego i jego obowiązków wobec języka:

„Otrzymuję — powiedział — nagrodę literacką, stwierdzającą, że Poznań widzi we mnie nietylko polityka, ale i pisarza, że uznaje wartość tego, com napisał. To znaczy dla mnie wiele. Bo dla mnie moja działalność pisarska była nietylko czynnością pomocniczą w praktycznej polityce; była to w znacznej mierze niezależna od polityki uprawa duszy narodu. Jeżeli z wysiłkiem walczyłem o to, co Polska zdobędzie, to jeszcze więcej myślałem o tem, czem będzie. W tej pracy pisarskiej widzę duże zadanie i dlatego tak mi jest miła właśnie nagroda literacka...

Odbierając ją, poczytuję sobie za obowiązek wytłumaczyć się w kilku słowach z mej formy literackiej.

Staram się pisać krótko, zwięźle, jasno, bez ozdób, bez ubiegania się o oryginalność stylu. Pochodzi to w części stąd, iż życie kazało mi być raczej człowiekiem czynu, niż pióra, że nie miałem nigdy wielu chwil spokojnych do skupienia swej myśli na czynności pisania. Stąd też i usterki w mych pismach, które sam nagół lepiej widzę od moich czytelników. Jednakże ten mój sposób pisania jest przedewszystkiem świadomy i celowy. Idzie mi o to, żeby mię każdy myślący Polak, nie tracąc wiele czasu, zrozumiał, żeby pomiędzy mną a czytelnikiem nie było żadnych nieporozumień. Nie chcę uchodzić za mądrzejszego, niż jestem i dlatego mojemi zadaniami pisarskiemi są: oszczędność słowa, szczerość, prostota. Piszę takim językiem, jakim mówię.

Z dumą mogę powiedzieć, że piszę dobrze po polsku. Unikam przeładowania obcemi wyrazami, chronię się od obcych zwrotów, składnia moja jest polska. Nie miałem nigdy czasu pilnie opracowywać tego, com napisał, *stylum vertere*, jak mówili starożytni — ratowało mię to, że znam dobrze mowę ojczystą, odczuwam jej ducha, że mam dla niej cześć głęboką.

Uważam, że tylko wielki, uprawiony przez pracę pokoleń język zdolny jest wyłożyć jasno i zrozumiale trudny przedmiot środkami prostemi i staram się dowieść, że takim językiem jest nasz język polski. I w tym względzie pragnąłbym znaleść jak najwięcej naśladowców, ktorzyby z taką czcią dla mowy ojczystej, z taką, jak moja, jej miłością, unikali znęcania się nad polszczyzną, wykoszlawiania jej, czy to przez niedbalstwo, czy dla wydobycia z siebie wątpliwej oryginalności pisarskiej.

Powiedziano: styl to człowiek, również trzeba powiedzieć: język to naród. Wartość języka to miara wartości narodu, jego charakteru, jego duchowej kultury. To też zajęty swą osobą pisarz skupia swą uwagę na stylu; pisarz Polak myśli przedewszystkiem o języku.

Pielęgnujmy w czystości, w uczciwej prostocie i w męskiej sile polskie słowo, jeżeli chcemy mieć czystą, uczciwą i męską myśl polską. Szczebiotem, paplaniną lub żargonem wielki naród żyć nie może. Potęga języka jest jednym z wielkich czynników i warunków potęgi narodu.

Z tego zawsze zdawałem sobie sprawę. W czasach, gdy redagowałem pismo, współpracownicy często nie poznawali swych artykułów po ich ukazaniu się w druku. Pisząc sam, nie zbogaciłem mowy ojczystej neologizmami, co najwyżej starałem się ratować od zagłady jakiś wyraz który uważałem za niezbędny do ścisłego oddania myśli, ale języka polskiego nie obniżyłem, przeciwnie, pracowałem nad tem, żeby przy swej wysokiej wartości poetyckiej był on jaknajlepszem, kulturalnem narzędziem ścisłej myśli, językiem prostej, logicznej prozy.

I dlatego uważam się za pisarza polskiego. I nie mam wyrzutów sumienia, że zabieram jedną z nagród literackich w Polsce. Tem więcej zaś ją sobie cenię, że mi ją dał Poznań“.

DLA NAUKI

W kwietniu r. b. odbył się w Warszawie drugi zjazd naukowy, urządzony przez Kasę im. Mianowskiego, o którym prasa codzienna, zgarniająca skwapliwie piasek i to, co pływa po jego wierzchu, posiada bardzo skąpe i niedokładne wiadomości. A podniesiono na nim i oświetlono sprawy bardzo ważne, dotyczące naszej twórczości naukowej. Obecnie w wydawnictwie „Nauka Polska“ wyszedł Pamiętnik tego zjazdu ze szczegółowem przedstawieniem jego obrad.

Rozpoczął je prof. Świętosławski referatem o „Zadaniach uczelni akademickich“, w którym wykazał, że liczba wstępujących słuchaczów nie jest wcale za wysoka w stosunku do potrzeb społeczeństwa, natomiast niezmiernie niska jest liczba kończących studja, co wynika ze zbyt długiego ich czasu i z niedostatku materjalnego młodzieży akademickiej. Z rozpraw nad tym i następnymi referatami profesorów J. Sosnowskiego „Jak pogodzić z sobą dwie równoległe funkcje szkół akademickich — przygotowanie młodzieży do zawodów praktycznych i pracę naukowo-twórczą“ i S. Kota dowiadujemy się kilku charakterystycznych a bardzo niepożądanych objawów. Tak n. p. Urząd miar przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu jest uposażony sumą roczną 350.000 zł., a ponieważ nie wie, jak ją zużytkować, więc zakupuje narzędzia kosztowne a niepotrzebne. Nabył on za kilkanaście tysięcy zł. przyrząd uniwersalny Hildebranda do wyznaczania czasu, do czego wystarczają sygnały radjowe, ale żadne obserwatorjum astronomiczne takiego niezbędnego przyrządu nie posiada. Nabył również za 30.000 zł. wahadło Sternecka do badań grawitacyjnych, które nie leżą w obrębie jego działalności. „Tymczasem profesor na jedynej w Polsce katedrze geofizyki musiałby przez szereg lat nie kupować nic, aby drogą tej oszczędności zebrać fundusz na zakup tego przyrządu bezpośrednio mu potrzebnego“. Do tych faktów prof. S. Kalinowski dołącza uwagę:

„Wszyscy wiedzą i niewątpliwie się cieszą, że nasi ambasadorowie mają teraz galowe mundury i stosowa-

ne kapelusze. O wspaniałych apartamentach i innych zbytkach naszych placówek zagranicznych wiadomo dawno. Wyobraźmy jednak sobie, że ograniczyliśmy te zbytki, oświadczając innym mocarstwom, które są przecie o naszym stanie gospodarczym i finansowym poinformowane, że drogą tej oszczędności pragniemy podnieść rodzimą naukę. Czy mogłoby to nam na terenie międzynarodowym zaszkodzić, czy raczej pomóc? My jednak oczywiście tego nie zrobimy".

Uchwały zjazdu zawarły się w następujących głównych żądaniach:

Należy uposażyć szkoły akademickie w liczniejsze siły nauczające (zwłaszcza pomocnicze), pracownie i środki materjalne, zorganizować kredyt długoterminowy dla studentów niezamożnych; podnieść poziom przygotowania naukowego kończących szkoły średnie. Ażeby szkoły akademickie mogły być ośrodkami zarówno pracy naukowo-twórczej, jak i przygotowawczej do zawodów praktycznych, należy, oprócz żądań wyżej zaznaczonych, przenieść punkt ciężkości zajęć akademickich z wykładów na ćwiczenia, laboratorja i seminarja, udzielać funduszów bibliotekom, urlopów profesorom na studja i wyjazdy zagranicę, poparcia pracownikom i zakładom naukowym, zasiłków na wydawnictwa, pomagać materjalnie młodzieży pragnącej pracować naukowo, przenosić nauczycieli szkół średnich i wogóle wybitnych pracowników naukowych do miast uniwersyteckich, wreszcie podwyższyć miarę naukową dla ubiegających się o katedry akademickie.

W uchwałach tych pominięto bardzo ważną, przez prof. Sosnowskiego uwydatnioną potrzebą uwolnienia szkół akademickich od gradu przeważnie bezmyślnych okólników, wymagań buchalteryjnych i wogóle tych dokuczliwych i morderczych pomysłów biurokratycznych, często niewykonalnych lub do niczego nieprzydatnych, zawsze zabierających czas do właściwego użytku przeznaczony a na tem bezopłatnie zmarnowany. „Przeszliśmy — opowiada p. S. — wizyty i kontrole urzędników monopolu spirytusowego, którzy chcieli, żeby bodaj każde zużycie kilku centymetrów sześciennych alkoholu zostało opisane protokólarnie. Mamy całe dzieło o paleniu w piecach, z którego wynika, że trzeba na tydzień naprzód przewidzieć temperaturę powietrza. Mamy książki inwentarzowe, które dwóch ludzi nosić musi, skonstruowane w ten sposób, że są może znakomite na kolei, ale bezcelowe w małej pracowni". Twórcy i wykonawcy tych zadań ani się domyślają, jak one są niedorzeczne, śmieszne i szkodliwe.

MAŁA POLSKA BUDOWANA NA BŁOCIE

W CELU rozbicia stronnictwa ludowego skłoniono senatora Bojkę (człowieka, któryby zresztą mógłby być uczciwy, gdyby go nie wodzono na pokuszenie) do porzucenia szeregów Witosa i sprzymierzenia się z osławionym Stapińskim, którego ten sam Bojko przed laty usuwał ze stronnictwa z powodu frymarczenia mandatem. Obecnie Bojko ma możność wydawania swego pisma „Chłop polski", ale za to musi ogłaszać listy Stapińskiego, mianując go „zasłużonym wodzem chłopów".

W listopadzie 1913 Stapiński stał się bohaterem głośnego skandalu, który nawet w Austrji był rażący, Ujawniło się, że rząd austrjacki (Stuerghka) zupłacił mu 80.000 kor. za sprzeniewierzenie się ludowcom i zawarcie sojuszu z konserwatystami krakowskimi. Skandal był tak wielki, że poseł Wł. L. Jaworski, który szermował zasadą, że polityka jest sztuką chodzenia brudnemi drogami, za przeprowadzenie tej tranzakcji ze Stapińskim musiał złożyć mandat poselski. Stapiński mandatu nie złożył, a minister Biliński, przedstawiając go cesarzowi Franciszkowi Józefowi, nazwał go „podporą austro-węgierskiej monarchji".

Minister skarbu Korytowski dał Stapińskiemu koncesję na Bank Ludowy. Koncesję tą trybun ludowy dzisiejszej Sanacji sprzedał Żydom za 200.000 koron, Obie te sumy zachował dla siebie prywatnie.

Nie będziemy już opisywali, ile zarobił na Banku Parcelacyjnym dzięki wysługiwaniu się rządowi wiedeńskiemu, o jego spółkach z Żydami, łapówkach, cynizmie. Przytoczyliśmy parę przykładów, aby przypomnieć słynną ze swojej hańby postać demagoga. Musiał wreszcie wycofać się z polityki, bo nikt uczciwy z nim nie rozmawiał. Ale oto wskrzesza go do życia politycznego — „sanacja" z r. 1927.

Czemże się zasłużył Stapiński, dlaczego tak miły się stał i potrzebny? Zamożny jest, wrogi Witosowi, a nadewszystko jest głową sekty Hodurowców. Wiele może poczynić spustoszeń w duszy ludu w walce obozu małej Polski z kościołem katolickim.

W tem świetle zrozumiałą jest chyba dla każdego czystego człowieka konieczność przesunięcia obrony narodu z terenu partyjnie politycznego na teren moranly. Wybory stają się tam tylko pretekstem zamachów na podstawy moralne istnienia Państwa i Kościoła.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Rada Ligi Narodów w sprawie polsko-litewskiej. — Wybory do Sejmu i Senatu. — Hasło zjednoczenia sił narodowych.

DNIA 10 b. m. Rada Ligi Narodów uchwaliła rezolucję w sprawie zatargu polsko-litewskiego. Do sprawy tej i do jej rozstrzygnięcia na terenie Ligi Narodów przywiązywał rząd marszałka Piłsudskiego szczególniejsze znaczenie, czego dowodem dwukrotne, wywołujące wiele hałasu w prasie wyjazdy premjera do Wilna, jak również niezwykły fakt osobistego udania się prezesa Rady Ministrów do Genewy, wbrew powszechnie ustalonemu obyczajowi, że w Radzie Ligi mocarstwa reprezentowane są nie przez kierowników rządu, ale przez ministrów spraw zagranicznych lub delegatów specjalnych. Jakie są wyniki tej akcji politycznej, osobiście pokierowanej przez premjera?

Rozpatrując rezolucję Rady Ligi Narodów z dn. 10 b. m. spostrzega się zupełnie wyraźnie, że Polska i Litwa zostały w niej potraktowane w sposób zgoła... niejednakowy. Rezolucja stwierdza mianowicie, iż Polska „uznaje i uszanuje... całość terytorjalną republiki litewskiej", natomiast ze strony Litwy żadne tego rodzaju zobowiązanie nie zostało zaciągnięte. Litwa oświadcza tylko, że „nie uważa się za będącą w stanie wojny z Polską", nie uznając bynajmniej istniejących granic Rzplitej i nie zrzekając się wcale pretensyj do części naszego terytorjum państwowego. W tych warunkach za nadzwyczaj nieszczęśliwe musi być uznane sformułowanie końcowego zdania rezolucji: „Rada oświadcza, że powyższa rezolucja w niczem nie przesądza spraw, co do których między rządami zachodzą różnice poglądów". „Różnice poglądów" między rządem polskim i litewskim zachodzą przedewszystkiem co do sprawy przynależności Wilna i ziemi wileńskiej do Polski. Ale ta sprawa jest już raz na zawsze, całkowicie, bezapelacyjnie przesądzona wolą ludności tych ziem, wolą Polski, która ziemię wileńską uroczyście do Rzeczypospolitej Polskiej inkorporowała, wreszcie Trak-

tatem Wersalskim, na którego podstawie, w myśl postanowień art. 87, Konferencja Ambasadorów obecne granice Państwa Polskiego uznała i „oznaczyła“. Cóż miał na myśli przedstawiciel Polski w Genewie, głosując za rezolucją, zawierającą wyrażenie „w niczem nie przesądza“?

Nadzwyczaj znamienne jest również postanowienie Rady Ligi, że „skargi rządu litewskiego, odnoszące się do postępowania wobec osób języka lub pochodzenia litewskiego, będą zbadane przez komitet, składający się z przewodniczącego Rady i z dwóch członków przez niego wyznaczonych. Komitet ten przedstawi Radzie sprawozdanie ze swych czynności“. O postępowaniu rządu litewskiego wobec Polaków w Kowieńszczyźnie rezolucja nie wspomina ani jednem słowem. Natomiast postępowanie rządu polskiego wobec własnych obywateli „języka litewskiego“ zainteresowało Radę Ligi tak dalece, że dla zbadania tej sprawy postanawia wyznaczyć specjalną komisję z przewodniczącym Rady na czele i domaga się od tej komisji sprawozdania z wyniku jej badań. Czyż taki fakt podnosi powagę Państwa Polskiego na terenie międzynarodowym?

Opinja polska ze szczerą radością wita oświadczenie Litwy, że „nie uważa się za będącą w stanie wojny z Polską“, z zadowoleniem także przyjmuje te ustępy rezolucji, które zalecają rozpoczęcie w najbliższym czasie bezpośrednich rokowań polsko-litewskich i ofiarowują w razie potrzeby „do dyspozycji obu stron życzliwą pomoc Ligi Narodów“. Nie należy jednak zapominać, że wbrew codziennym niemal w ostatnich tygodniach zapewnieniom prasy „sanacyjnej“ o nieuniknionym jakoby upadku dyktatury p. Waldemarasa, dyktatura ta, jak dotychczas, bynajmniej nie została obalona, a zatem rokowania z Polską prowadzić ma w obecnych warunkach człowiek, o którym polski prezes Rady Ministrów oświadczył publicznie, że „p. Waldemaras wzbudza we mnie obawę z powodu stanu swego umysłu, który jest, zdaniem mojem, niepoczytalny“. Jeżeli szef rządu Państwa Polskiego w taki sposób wyrażał się o szefie rządu państwa sąsiedniego, to czynił to chyba nie z zamiarem stworzenia przyjaźniejszej atmosfery dla „rokowań mających na celu ustalenie dobrych stosunków“, lecz raczej w przypuszczaniu, że rokowania te będzie prowadził już nie z p. Waldemarasem, ale z jego następcą.

Dnia 5 b. m., w terminie oznaczonym przez Konstytucję, ogłoszony został dekret Prezydenta Rzplitej, wyznaczający wybory do Sejmu i Senatu na dzień 4 i 11 marca roku przyszłego. Tegoż dnia wydany został List Pasterski biskupów polskich, ostrzegający wiernych przed niebezpieczeństwami, grożącemi Polsce i Kościołowi i nawołujący „wszystkich, którzy się z tem oświadczają, że stoją na gruncie katolickim, aby się nie dzielili, ale szli wespół i razem“. W tydzień później, w odpowiedzi na List Pasterski, pojawiła się odezwa, podpisana przez stu zgórą wybitnych obywateli, należących do rozmaitych stronnictw, a wzywająca „wszystkich Polaków, myślących i czujących po polsku i po katolicku, do wyrzeczenia się stanowiska partyjnego, do połączenia wszystkich sił w celu wybrania wspólnie do Sejmu i Senatu jednego zastępu przedstawicieli, stojących na gruncie jednego wspólnego programu“. Hasło zjednoczenia sił narodowych, rozbitych przez szkodliwy podział na partje, staje się wyrazem dążeń najszerszych rzesz obywateli, wiernych idei narodowej.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

ODZNACZENIE ZNAKOMITEGO FIZYKA

NA wniosek Rady Wydziału Elektrotechnicznego przyznał Senat Akademicki Politechniki Warszawskiej znakomitemu fizykowi holenderskiemu profesorowi Uniwersytetu Lejdejskiego dr. Wilhelmowi Henrykowi Keesomowi stopień doktora nauk technicznych *honoris causa*. Uroczysta promocja odbyła się dn. 13 listopada b. r.

Wymieniony badacz urodził się w roku 1876 na wyspie Texel w północnej Holandji. Studja uniwersyteckie odbył w Amsterdamie, gdzie uzyskał stopień doktora nauk fizyko-matematycznych. Niezmordowana pracowitość i wytrwałość zawiodły go z rybackiej chaty na katedrę uniwersytecką.

Jeszcze jako student zdobył pierwszą nagrodę na konkursie Uniwersytetu Lejdejskiego; po szczeblach karjery naukowej szybko posuwał się naprzód, zajmując kolejno stanowisko asystenta, konserwatora, docenta, wreszcie profesora fizyki na Uniwersytecie Lejdejskim, gdzie w 1924 roku obejmuje kierownictwo sławnego Instytutu Kryogenicznego, jedynej do niedawna w świecie placówki badań nad własnościami materji w bardzo niskich temperaturach. Prof. Keesom jest członkiem rzeczywistym Król. Akademji Nauk w Amsterdamie, członkiem korespondentem Akademji Nauk „*Dei Nouvi Lincei*“ w Rzymie, całego szeregu towarzystw naukowych w Europie i Ameryce oraz doktorem *honoris causa* Uniwersytetu w Louvain.

Trafną charakterystykę wielkiego uczonego dał w swej pięknej przemowie promocyjnej prof. dr. M. Wolfke, zaznaczając, że „w naukowej swej działalności prof. Keesom przedstawia klasyczny typ nowoczesnego fizyka, jednoczącego w sobie głęboką przenikliwość myśli teoretyka z subtelnem wyczuciem eksperymentatora“.

Zagadnienia termodynamiki, kinetycznej teorji materji były tematem licznych prac tego uczonego, który pogłębił nasze wiadomości o istocie sił międzycząsteczkowych, przyczem jako jeden z pierwszych, uzasadnił ich naturę elektryczną.

Prace doświadczalne prof. Keesoma dotyczą zakresu badań nad własnościami materji w bardzo niskich temperaturach, których wynikiem między innemi było skroplenik helu — pierwiastka, który dotąd nie był znany w stanie stałym. Zaznaczyć należy, że zestalenie helu dokonane zostało przez zastosowanie odpowiedniego ciśnienia na ciekły hel, przyczem już w r. 1924 prof. Wolfke zaproponował przeprowadzenie takich prób. Do bardzo ważnych prac należą również badania wewnętrznej struktury gazów zestalonych przy pomocy promieni x.

Instytut Kryogeniczny Uniwersytetu w Lejdzie, którego kierownictwo po zmarłym niedawno prof. Kamerlingh Onnesie objął prof. Keesom, bogato wyposażony zarówno przez Rząd Holenderski jak i Rockefellera, jest jednym z najbardziej zasłużonych dla nauki warsztatów pracy badawczej, nie dziw więc, że gromadzi stale najwybitniejszych fizyków świata. Z instytutem tym nawiązała bliskie stosunki Politechnika Warszawska dzięki inicjatywie byłego jej profesora i byłego posła polskiego w Hadze dr. Józefa Wierusz — Kowalskiego*) następnie w r. 1924 prof. dr. Mieczysław Wolfke, obecny kierownik Zakładu Fizycznego I, podjął rozległe badania nad stałą dielektryczną w niskich temperaturach, które kontynuował w rok później docent wydziału elektrycznego Dr. Wacław Werner. Współpraca naukowa

*) Zmarł 30 listopada r. b. w Angorze na stanowisku posła polskiego w Turcji. — Red.

prof. Wolfkego i Keesoma dała nieoczekiwany i wielki wynik, mianowicie w maju b. r. uczeni wymienieni dokonali ważnego odkrycia nowej modyfikacji ciekłego helu.

Niezwykle bogaty dorobek naukowy prof. Keesema i serdeczna życzliwość, z jaką się odnosi do wszelkich poczynań polskich uczonych, w szczególności profesorów Politechniki, skłoniły Senat Akademicki do nadania mu stopnia doktora nauk technicznych *honoris causa.*

Dla uzupełnienia charakterystyki tego wielkiego syna narodu, tak zawzięcie walczącego z żywiołem morskim, wspomnieć trzeba, iż należy on do rzędu badaczów, którzy, zdając sobie sprawę z istnienia granic poznania rozumu ludzkiego, szukają rozwiązania zagadnień bytu w głębokiem i szczerem uczuciu religijnem.

Przemówienie swoje promotor zakończył życzeniem, aby akt ten był nietylko wyrazem hołdu z naszej strony dla wielkiego uczonego holenderskiego, ale przyczynił się również do jeszcze większego zacieśnienia węzłów przyjaźni z Holandją, z „tą wielką potęgą naukową", jak ją powszechnie na Zachodzie mianują.

JÓZEF MAZUR

ARTHUR I WANDA

POD tytułem powyższym w dwojga imion złączeniu wyszło nakładem Bibljoteki Medyckiej dzieło w dwuch tomach, zawierające listy wielkiego malarza polskiego — Arthura Grottgera do jego narzeczonej — Wandy Monné, oraz pamiętnik narzeczonej, uzupełnione listami do rodziny, notatami i t. p. pamiątkami po przedwcześnie zgasłym artyście. Oba tomy ozdobione licznemi, przeważnie nieznanemi rysunkami Grottgera i fotografjami, opracowali i objaśnili, pani Maryla Wolska i p. Michał Pawlikowski, z którego słynnych zbiorów medyckich większość materjałów zaczerpnięto.

Dzieło wydano bogato, z wielkim gustem i pietyzmem. W szczególności zasługuje na uwagę układ, dzięki któremu stało się ono żywe, jak romans, doskonale w architektonice pomyślany, jasne i pod względem naukowo-historycznym — solidne. W odpowiednich miejscach uwagi wydawców łączą listy, notaty i wypadki w jedną całość co do czasu, miejsca, osób, stosunków i zdarzeń. Skromne te, a pięknie pisane wstawki, uwagi, i odnośniki wydawców same świadczą o wielkim z ich strony nakładzie pracy, umiłowania przedmiotu i znajomości rzeczy. Słowem, całość wartości pierwszorzędnej.

Poza stroną dokumentalną i historyczną, o której jako laik pisać nie mam prawa, dzieło „Arthur i Wanda" podaje nam i potomności niezwykłą sposobność do wejrzenia w codzienne poufne życie wielkiego artysty, a przez nie — i pokolenia, w którem żył i tworzył. Obraz tego życia z natury rzeczy z drobnych składa się linij i barw, ale tak bezpośrednich, czystych i ciepłych, że do najwyższego stopnia od pierwszych stronic zaciekawia, a tak jednolity, że, zanimby swoją drobiazgowością znużyć zdołał, już daje czytelnikowi syntezę wielkiej konstrukcji, która do końca trzyma uwagę naszą na uwięzi. A koniec ten — to nagły, tragiczny, na progu najpiękniejszej twórczości napotkany zgon młodego twórcy „Wojny".

W jednym z dopisków pani Wolska na podstawie dokumentów niewątpliwych ustala (domyślny dotychczas) fakt, że Grottger nazwisko swe cudzoziemskie odziedziczył z linji żeńskiej, w istocie zaś pochodzi z rodu hr. Siemianowskich, że przeto był z dziada pradziada Polakiem. Pozatem historycy i monografiści malarstwa znajdą tu całą kopalnię szczegółów tak dla osoby artysty, jak jego sztuki i epoki ważnych, a pewnych. Dzieło pod każdym względem przynosi zaszczyt Bibljotece Medyckiej i daje rękojmę dalszych równie pięknych wydawnictw.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Tadeusz Zieliński ogłosił ostatnio krótką broszurę p. t. „Rozwój moralności w świecie starożytnym od Homera do czasów Chrystusa". Jest to odczyt, wygłoszony na publicznem posiedzeniu Polskiej Akademji Umiejętności dn. 11 czerwca r. b. i wydany jej nakładem. Krótki ten odczyt — to swego rodzaju arcydzieło jasności i głębokości myśli twórczej. Trzeba było dziesiątków lat pracy naukowej oraz niepospolitej siły umysłu i talentu, aby zdobyć się na tę zdolność syntezy i prostotę wypowiedzenia swych idej.

*

Analiza twórczości Norwida stale postępuje naprzód, n.p. aż cztery prace doktorskie zostały w ostatnich czasach jej poświęcone (Cywiński — Wilno, Piechocki — Poznań, Raczyński i Makowiecki — Warszawa). Rozprawa Makowieckiego p. t. „Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę" ukazała się świeżo w „Pamiętniku Literackim XXV" oraz w osobnej odbitce (str. 64). Tytuł szkicu jest nieścisły, bo mamy tu wogóle analizę techniki pisarskiej poety i poglądów jego życiowych w pierwszej epoce jego twórczości (1840—1843). Najbardziej samodzielne i cenne są badania psychoanalityczne obrazowości i języka poety. Dalsze uogólnienia są mało oryginalne, oparte na pracach dawniej ogłoszonych, albo też zbyteczne, jak n.p. próba zaprzeczenia istnienia Cyganerji Warszawskiej, która zapewne organizacją w rodzaju Filomatów nie była, jednak łączyła w zwarte koło kilkanaście osób o podobnych skłonnościach artystycznych (epigonizm romantyzmu), czemu się Norwid przeciwstawiał wyraźnie w imię własnej idologji społecznej i chrześcijańskiej, stwierdzonej odrazu niedwuznacznie.

*

Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie wydana została nowa książka Juljusza Kadena-Bandrowskiego p. t. „Nad brzegiem wielkiej rzeki". Jest to zbiór króciutkich opowiadań, osnutych na wspomnieniach dzieciństwa, niejako dalszy ciąg cyklów: „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny".

Nową książkę swą Kaden-Bandrowski przeznacza znowu dla czytelników młodych, najwidoczniej w dalszym ciągu nie wyrzeka się roli wychowawcy, która leży poza zakresem jego uzdolnienień. Stąd niejednokrotnie powstaje przykra dysproporcja między zamiarem a osiągniętym wynikiem. Tak n. p. pisze Kaden-Bandrowski w przedmowie: „Ze wspomnień moich niedawnych o „Baśce" osądzisz, co myślę o miłości Ojczyzny". Autor na ten temat myślał najwidoczniej bardzo niewiele, skoro całą mądrością, jaką ma do podzielenia się z czytelnikami, jest pogląd, że u narodów niewolnych uczucie patrjotyzmu przejawia się jako nienawiść do ciemiężców, podczas kiedy narody niepodległe „mogą kochać wszystkich". Nie jest wogóle dobrze, kiedy zagadnienie miłości Ojczyzny ktoś chce objaśnić nie stosunkiem do własnego narodu, ale do narodów innych, a już chwila zastanowienia wystarczy, aby zdać sobie sprawę, że ani naród w niewoli, jeśli chce kiedykolwiek wolność odzyskać, nie odbuduje państwa negatywnem uczuciem nienawiści wobec wroga, ani naród niepodległy nie ma odrazu obowiązku „kochać wszystkich", zwłaszcza skoro niektórzy sąsiedzi ciągle jeszcze nastają na całość jego granic.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał ostatni tom Kadena-Bandrowskiego nader ozdobnie, w formacie dużej ósemki, z sześcioma kolorowemi ilustracjami na kredowym papierze.

*

W ostanich latach talenty kobiece, równolegle do nowej emancypacji, chłopięcych fryzur i ryzykownych sportów, wypowiadają się z drastycvną śmiałością, nie wahając się dla uzyskania silniejszej plastyki przed seksualną perwersją, a w polemice dziennikarskiej nacierając z zajadłością rekinów, będących w pełni sił męskich. Tem więc przy tej produkcji szlachetniej wygląda zbiór nowel Zuzanny Rabskiej „Grzech markizy", wydany przez księgarnię Gebethnera i Wolffa. Autorka w swych poezjach wielbi szum pustych wybrzeży morza, zacisza bibljotek i samotność starożytnych kościołów i pałaców. I w tej książce, choć tematy nowel rozgrywają się na arenie współczesności i wśród rwących fal życia, utrwala p. Rabska piękno chwil pełnych uczuciowego znaczenia, szybko zapadających w tajemnice przeszłości, chwil cichych i przelotnych, a czyni to z talentem

przedelikatnemi słowy i z wdzięczną prostotą środków artystycznych.

*

Dziwne wrażenie sprawiają książki na tematy blizkie polskiemu życiu współczesnemu, a bezwiednie przed oczy nasuwające wizje minionych dramatów naszego bytu narodowego. Taką jest książka, wydana przez Bibljotekę „Dzieł Wyborowych, zmarłego przedwcześnie Jana Żyznowskiego „Krwawy Strzęp", wspomnienia z czasów wojny światowej i ochotniczych walk Polaków na ziemi francuskiej w obronie przed najściem niemców. Więcej, niż przed stu laty, tak samo legjony Dąbrowskiego, ramię w ramię z armją francuską walczyły z Austrją, Prusami i Rosją o wolność ludów. Teraz znów nowe pokolenie Polaków, potomków legjonistów Dąbrowskiego i emigrantów po r. 1831 wraz z legjonistami z pod znaków Hallera, walczy z Niemcami w obronie Francji.

Żyznowski, utalentowany malarz i krytyk, kreśli swe wspomnienia ze swadą i rozmachem. Typowy to pamiętnik żołnierza. Chaotyczny, jak obraz zbrojnej potyczki, pełen ognistego tętna. charakterystycznych momentów życia obozowego i sylwetek wojaków-ochotników. A że walki te toczą się o Polskę, więc opisy dźwięczą często serdeczną nutą narodową.

U SŁOWIAN

Drugi numer miesięcznika nacjonalizmu czechosłowackiego", wychodzącej w Pradze „Myśli Narodowej" — „*Narodni Myšlenka*", przynosi m. i. godny uwagi artykuł o sporze polsko-litewskim. Artykuł ten przedstawi pokrótce przebieg sporu od r. 1917 do dzisiaj, wykazując całą nielegalność polityki litewskiej i umiarkowanie polskiej, stwierdza wreszcie najzupełniejszą słuszność praw Polski do Wileńszczyzny. Interesujący jest moment porównania dążności Litwy do rewizji granicy polskiej na Wileńszczyźnie z niedawną akcją Rothermere'a o rewizję granicy słowacko-węgierskiej — autor wykazuje łączność obu akcyj odkrywając ich kulisy w postaci prób niemieckich osłabienia gdziekolwiek zasady nienaruszalności międzynarodowych umów i traktatów. Z tego wreszcie także powodu powitać należy ten artykuł z zadowoleniem, iż ukazał się on w czasopiśmie narodowo-demokr., wydawanem przez to samo stronnictwo, którego organem są „*Narodni Listy*", które z początkiem listopada zamieściły obłudny, nieżyczliwy dla nas artykuł w tej sprawie. Zareagował na to również pilzneński „*Ceski denik*", organ tamt. nar. demokracji, w numerze z dn. 6 listop., pisząc, iż wystąpienie „*Nar. Listów*" jest niedopuszczalne.

*

Praski kwartalnik slawistyczny „*Slavia*" rozpoczął szósty rok istnienia. Pierwszy zeszyt nowego rocznika zawiera szereg studjów językowych i liter. wybitnych uczonych: Słowiańskie słon' (K. Oštir)—Do kwestji t. zw. Mszału kijowskiego (L. Arasimowicz)—Polskie mieszane dialekty i polskie dwugłoski (S. Smal-Stočkyj) — Nieznany chomocki głagalski przekład (S. Ivšić) — Studja literacko-folklostyczne (A. Sedelników) — Pochodzenie bajki Puszkina o „Carze Sałtanie" (E. Aniczkow).

*

Nader interesująco nadal przedstawia się każdy numer sympatycznego czeskiego miesięcznika, poświęconego morzu, „*More Slovanum!*", wydawanego już trzeci rok w Pradze pod redakcją poety i szczerego polonofila Józefa Müldnera. Pierwszy i drugi numer tego pisma za rok bieżący zawierają szereg „polonik": Polska w rozwoju swoich sił morskich (Nr. 1), przez red. Müldnera, Polska flota wojenna (Wł. Wolski); Jak Gdynia witała prezydenta Polski (J. Müldner) (Nr. 2:), nadto w obu numerach szereg wiadomości w kronice o Polskiej Lidze Morskiej i Rzecznej, piśmie „Morze" i t. d. Red. Dr. Müldner jest gorącym zwolennikiem ogólnosłowiańskiej współpracy politycznej i gospodarczej, w lecie roku bież. był w Polsce, nad naszem morzem i obecnie szerzy w Czechosłowacji zainteresowanie dla polskiego Bałtyku. Podnosi myśl pomocy przemysłu czechosłowackiego dla rozbudowy wybrzeża polskiego. Pismo „Morze Słowianom" zasługuje swą akcją na najżywsze uznanie z naszej strony.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Raymande Machard pisze powieści bardzo kobiece. Naprzód duża rzecz o „Matce" potem napisała opowieść, w której przedstawił nam „Żonę" („*L'oeuvre de cleoir*"), obecnie puściła w świat rzecz o miłości p. t. „*La possession*". Książka jest szczera i dobrze po literacku zrobiona. Wydawca Ernest Flammarion w Paryżu.

*

„*Les Soutanes Vertes*" (Fasquelle Edit) jest książką w której czytelnik nie znajdzie ani awanturniczych przygód, ani też żadnej intrygi miłosnej, ale przejmującą opowieść egzystencji wiejskiego księdza, żyjącego w przygnębianaj nędzy. Marny grosz, jaki ma, musi dzielić jeszcze ze starą służącą i żywić psa. Pierwsza go wreszcie opuści, ale pies wierny pozostanie. I oto w chwili, kiedy się księdzu trafia lepsza parafja jest tak wycieńczony głodem, że przyjąć jej wcale nie może. A jak wysoce dramatyczną i wzruszającą jest scena, w której „zielona sutanna" zamyka się w swoim kościele i rozmawia z Bogiem, opowiadając Mu swą nędzę, cierpienia głodu i zimna i błagając, by mu dał przynajmniej radośniejsze serce do znoszenia ciężkiego losu. W tym to zresztą kościele umrze on wreszcie i żebracy, bogatsi od niego, przeniosą zwłoki księdza na śmiertelne łoże.

*

„*Saite Therese d'Avila*" (Rieder) jest również książką, której autorką jest kobieta, pani Janina Galzy. Jest to rodzaj powieści cudownego tego życia mistycznego, napisanej na podstawie różnych dzieł i listów Świętej, a przedstawiający kolejne etapy jej doskonalenia się. Lektura tej książki pozwala nam lepiej poznać świętą Teresę, zaś autorka, której nie brak zmysłu krytycznego, wykazała równocześnie dużo wzniosłej imaginacji i liryzmu.

*

P. Maurycy Brillant, erudyta i krytyk wydaje bardzo ciekawe i bogato ilustrowane dzieło p. t. „*L'Art chrétien en France au XX-e siécle*" (Bloud et Gay), w którem w sposób bardzo subtelny zostały ujęte i przedstawione wszelkie przejawy sztuki religijnej naszej epoki.

*

P. Philippe Girardet w swojej ogromnie pouczającej i ze wszech miar ciekawej książce „*Les Hommes et les Affaires*" (Berger-Levrault edit.) porusza nietylko cały szereg pierwszorzędnych problematów aktualnych, odnoszących się do ludzi i do interesów, inaczej mówiąc do pracujących i do chlebodawców, ale również na podstawie doświadczenia, postępu maszyny i wogóle techniki, wysnuwa on bardzo daleko idące wnioski i co do przyszłości. Ewolucja bowiem, jaka się dokonuje, zmierza zdaniem p. Girardeta do tego, że maszyna zastąpi pracę robotnika nie specjalisty. Z czasem też, gdy liczba fachowców będzie się zwiększała, kategorja pierwszych robotników zmaleje i doprowadzi siłą rzeczy do upadku socjalizmu. Książka ta, napisana stylem nadzwyczaj jędrnym przez człowieka, znającego doskonale i ludzi i interesy, rzuca ciekawe światło na charakter jednych a linje rozwoju drugich.

*

Edward Helsey, którego pierwszorzędna ankieta, przeprowadzona w Alzacji, doprowadziła do sławnego procesu Kolmarskiego, publikuje obecnie u wydawcy Albin Michel „*Notre Alsace*". W książce tej przedstawia on całość problematu i wykazuje niebezpieczeństwo kampanji t. zw. autonomistów, działających pod wpływem Niemców, a zmierzających w istocie do separatyzmu. Dodać należy, że Edward Helsey publikuje obecnie na łamach „*Journal*'a" nową i bardzo ciekawą ankietę o Alzacji.

*

„*La captitivé de Napoleon III en Allemagne*" (Perrin edit.) w której autorem jest p. Paul Gueriot rozpoczyna się kapitulacją pod Sudanem. Książka ta jest oparta na dokumentach i zawiera dużo szczegółów wzruszających z życia Napoleona III-go. Autor przedstawia nam cesarza zrezygnowanego co do swego osobistego losu, ale głęboko cierpiącego nad losem Francji. Kreśli on z dużą bezstronnością i zrozumieniem głębokiem psychologji ten ciężki i tragiczny okres życia człowieka, prześladowanego straszną rzeczywistością, a którego w ostatnich latach historja sądzi z mniejszą nieco bezwzględnością.

SZTUKI PLASTYCZNE

SALON 1927

ZGÓRĄ czterysta pięćdziesiąt eksponatów zgromadził „Salon" doroczny Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Liczba zupełnie dostateczna, by wśród natłoku prac miernych, szablonowych, banalnych z niejakim trudem wyszukiwać trzeba było artystów naprawdę wybitnych, dzieł rzeczywiście wartościowych. A jednakże znaleźli się artyści, którzy w obecnym „Salonie" wystawili dzieła w całem słowa znaczeniu znakomite. Pierwsze miejsce wśród nich, nie „z urzędu" tylko i nie „z wieku", bo nikt u nas bodaj nie dorównałby ani energją twórczą, ani młodzieńczym rozmachem temu siedemdziesięcio-czteroletniemu dzisiaj artyście, zajmuje Juljan Fałat. Nikt, chyba jeden tylko, starszy o rok od niego Leon Wyczółkowski! Fałat tym razem nadesłał na

wystawę trzy akwarele, widoki z Bystrej, zadziwiające, jeśli chodzi o spotęgowanie siły wyrazu przez odrzucenie wszystkiego, co zbędne, przez niezawodny efekt prostoty. Zwłaszcza samotny świerk, pokryty śniegiem, („Zima“) ma na swój sposób coś ze szlachetnej wielkości skromnych rozmiarami drzeworytów Hokusaisa.

Piękno pejzażu polskiego znalazło wyraz w coraz wspanialej rozwijającej się twórczości Stanisława Czajkowskiego, zwłaszcza świetny jest jego zimowy krajobraz „Kurmowo“. Po raz pierwszy wystawił w „Zachęcie“ swe krajobrazy Wacław Bielawski, zapowiadający się jako talent silny, szczery, artysta wrażliwy. Wspaniały, jak zawsze, w niezawodzącem nigdy odczuciu polskości w architekturze, jest prof. Stanisław Noakowski, który tym razem dał fantastyczyy „Kraków u schyłku średniowiecza“ i „Nabożeństwo w Katedrze“. Znakomity portrecista, Alfons Karpiński, wystawił między innemi, doskonale namalowany „Motyw z Krakowa“.

Barwność Pokucia i jego ludu ciągle jeszcze jest dla malarzy naszych ożywczem źródłem natchnienia. W jak rozmaity, a jednakowo prawdziwy sposób wyrazić można urodność Huculszczyzny, tego dowodem pełne siły „Wesele huculskie“ Kazimierza Sichulskiego i wytwornie malowana „Hucułka z dzbankiem“ Michała Borucińskiego. Wśród portretów zwrócić musi uwagę doskonały „Portret młodego mężczyzny“ Mieczysława Kotarbińskiego, dzieło niezwykle subtelne zarówno w rysunku jak w kolorze. Józef Mehoffer w „Portrecie pani Z.“ raz jeszcze okazał swe mistrzostwo.

W dziale rzeźby indywidualność swą zaznaczyli przedewszystkiem: Janina Broniewska („*Immaculata Conceptio Masoviensis*“) i Aleksander Żurakowski („Wit Stwosz“).

Jury wystawy wyróżniło kilku artystów drugorzędnych, którzy nadesłali prace niewielkiej wartości, a mianowicie: J. Rapackiego (Dyplom Honorowy), K. Stabrowskiego (Dyplom Honorowy), B. Kopczyńskiego (Nagroda Prezesa Rady Ministrów), S. Zawadzkiego (Medal srebrny), B. Wiśniewskiego (Medal bronzowy), B. Iwanowskiego (zaszczytne wyróżnienie). Jedno z najsłabszych dzieł na wystawie, „Wawel“ Tadeusza Cieślewskiego (*seniora*), zakupione zostało przez Towarzystwo Zachęty do zbiorów muzealnych.

K. L.

TEATR

„DZIADY“

WYSTAWIENIE „Dziadów“ w teatrze Narodowym pod koniec listopada — i to z pogwałceniem obowiązku uczczenia w tym czasie Wyspiańskiego — można tłumaczyć tylko jakimś motywem ubocznym. Majaczyło się widocznie, że wypada w tym czasie wystawić coś aktualnego w związku ze zdarzeniami litewskiemi, jak one na koniec listopada się zapowiadały. Stąd podkreślenie pierwiastka etnograficznego nawet w szatach aniołów — i temu podobne „nieumyślne“ a niewymyślne intencje. Nieszczerość pracy artystycznej, a ta wymaga bezwzględnego oddania, dała się odczuć w skutkach. Były to „Dziady“ Zelwerowicza.

Tak czy owak, choć szkoda że tak, każda sposobność słyszenia Mickiewicza jest cenna. Na „Dziadach“, które są zlepkiem paru okresów twórczości, widzimy, jak rosły w poecie idee i jak z litewskiego poganina, zasłuchanego w głosy zmarłych, przerabiał się na chrześcjanina, w jaki sposób z poety cierpień osobistych przekształcał się w wieszcza u c z u ć nieosobistych, biorącego na siebie los narodu.

W trzeciej części Dziadów, a w teatrze w akcie czwartym — mamy przed sobą scenę zbiorową w więzieniu, odegraną przez ówczesną młodzież wileńską. Kulminacja dramatu w tej scenie, nadbudowana niby wieżą podniebną przez Improwizację Konrada, czyni z dzieła rodzaj misterjum ducha Polski, który na ziemiach polskich zmienia co jakiś czas swoją stolicę—*flat ubi vult*. Samowiedza narodu podówczas wyjawiała się w Wilnie. I zawsze wyjawia się przez młodzież. Między tamtą przed stu laty a dzisiejszą, która teraz ogłasza w imieniu Młodych Obozu Wielkiej Polski swoje wyznanie wiary narodowej było zaledwie parę etapów w rozwoju myśli narodowej, znaczonych zmianą pokoleń!. Uczucie romantyczne patrjotyzmu, wyrażone w Improwizacji, znalazło znalazło ujście w czynach improwizowanych, aby znaleść reakcję w pokoleniu młodych ze Szkoły Głównej w Warszawie. Oni też mieli swoje improwizacje, gdy przysięgali na wiarę w rozum i naukę. W naszych czasach od tamtego stulecia rozpoczęła się w społeczeństwie praca wewnętrzna nad syntezą, zmierzającą do uczynia z idei narodowej, która była jak lont zapalny w ognisku serca Konradowego, — normy objektywnej stałego pozytywnego czynu patrjotycznego.

Dla naszego pokolenia jest już prymitywem stanów psychicznych żądza krwi i zemsty „z Bogiem i choćby mimo Boga“. Myśl narodu topi w sobie Konrada i ks. Piotra. Nie zemsta jest motorem czynu, ani żądza krwi, lecz miłość, jako siła moralna. Resztki tamtej psychiki przetrawiają się jeszcze. Wybuchają — w braku wroga zewnętrznego—na wewnątrz, szukają wroga u siebie i za wielki czyn improwizowany uważają „wypicie“ czyjejś krwi i „porąbanie toporem“, „by nie powstał i nie był upiorem“.

Byłby to wdzięczny temat do studjum naukowego— zestawienie trzech generacyj i pokazanie, jak unowożytniała się dusza polska w ciągu stu lat. Duch narodu objawiał się zrazu wybranym jednostkom, wyobraźnia zbierała go z gwiazd, uczucie stawało się w nich jak „nabój w dziale“ gotowe do wybuchu, nieprzytomne; a działo naładowane może ktoś z ubocza nakierować i wybuch spowodować, kiedy chce. Podczas słuchania sceny więziennej „Dziadów“ nasuwa się refleksja, jak mało jest opracowana historja myśli polskiej z tych czasów i naszych. Nad owemi początkami nowej ery polskiej zastanawiali się Ignacy Chrzanowski w rewelacyjnej publikacji „Chleb macierzysty Ody do młodości“ (1920) i Stanisła w Pigoń w książce „Głosy z przed wieku“ (1924). Rok 1820 można uważać za przełomowy w sensie zwrócenia owego „działa“ ku Rosji. Prof. Pigoń zwraca uwagę, że tak niedawno ci sami młodzi w listach zachęcali się do napisania ody na cześć cesarza Rosji, który miał przybyć do Kowna, a wkrótce: zemsta, sznur z konopi itd. Coś przyśpieszyło ewolucję uczuć i niemi pokierowało. Na całe stulecia to nastawienie dało kierunek polskiej myśli narodowej. „W Wilnie właśnie przed stu laty — stwierdza prof. Pigoń — zagiął się był nurt patrjotyzmu polskiego wyraźnie i stanowczo... Wielki więzień murów bazyljańskich wiedział dobrze, dla czego z tamtego właśnie wypadku wziąć tworzywo do III cz. „Dziadów“, do tego manifestu nieprzejednania, owej przeciągłej, żywej na pokolenia, pogróżki w stronę Rosji“... Jak ta myśl była stosowana, z jakim trudem doszło do uogólnienia jej w stosunku do wszystkich zaborców — o tem piękną możnaby napisać rozprawę właśnie na tle literatury.

Ponieważ strona artystyczna przedstawienia nie pociągała zbytnio uwagi, więc snuło się takie refleksje w kierunku historycznym. Z nich też daję sprawozdanie.

Z. W.

„ABY ŻYĆ" — K. WROCZYŃSKIEGO

KOMEDJA polska choruje na farsę. Gdybyż na lekkość i humor, to nie wadziłoby komedji, ale farsa leży już na granicy literatury dramatycznej, często za granicą. Ludzie w niej to manekiny, a rzecz polega na śmiesznej sytuacji. Dlatego farsa tak rzadko się udaje, trudniej bowiem z człowieka zrobić manekina, niż z manekina człowieka. Słuchacz w teatrze i w krzesłach na galerji chętniejby dodał człowieczeństwa bohaterowi na scenie, niż mu ujął. Czuje własną krzywdę w poniewierce człowieka na scenie. Zwłaszcza zagadnienia moralne są drażliwe w farsach. Autor musi mieć biegłą rękę w dotykaniu spraw moralnych, aby zrywając komuś maskę dla odsłonięcia przywar, nie wybijał mu oka, lub nosa nie urywał. Kiedy coś krwawi moralnie, to już dramat; nie może być mowy o farsie.

Sytuacje w komedji Wroczyńskiego istotnie są pomysłowe i, mechanicznie biorąc, zabawne, ale obyczajność nie pozwala nam śmiać się z nich jeszcze. Może się przyzwyczaimy śmiać na widok „przyzwoitego" towarzystwa, popełniającego oszustwa i włamania do kasy tak, jak już przyzwyczailiśmy się śmiać z rozpusty i poniewierania rodziny; ale narazie uśmiech jest blady. Kasjer i dwaj dyrektorowie banku, powodowani zamiarem zrabowania kasy i ucieczki zagranicę, chwytają się sami na gorącym uczynku. Kryminał śmiałby się z tego. Nawet nas nie rozwesela, że trafem akcje poszły w górę i bohaterzy uratowali się od więzienia.

Na dziesięć osób komedji jedna tylko ma jakąś wrażliwość moralną, ale jest to właśnie warjat. Jeśli warjat (co zresztą się nie wyjaśniło), to z metodą, bo uciekając z zakładu obłąkanych, przywłaszczył paltot naczelnego lekarza i jego paszport i pod jego nazwiskiem dokonywa swych czynów bohaterskich. Wszystkie kobiety,— jak z domu publicznego, mężczyźni, — jak z kryminału. Trudno dobrze się bawić w tem towarzystwie.

Autorzy dramatyczni warszawscy lubią się bawić w tem towarzystwie. Nazywa się to ładnie karceniem obyczajów, ale w atmosferze sceny bynajmniej ten zamiar się nie uwydatnia. Wszystko w żart niefrasobliwy obrócone.

Już nieraz zwracało się tutaj uwagę na bezwrażliwość moralną naszej produkcji teatralnej. To nie są błędy artystyczne, któreby można poprawić na papierze. Trzebaby przerobić twórców. I to przyjdzie na Warszawę — inaczej nie stanie się ona ogniskiem twórczości. Ochrzcić na nowo, uczyć elementarnego poczucia moralnego jak Polinezyjczyków, pokazać smak wyższych rozkoszy kulturalnych. Wtedy, cokolwiek będą pisali, będzie można w tem wyczuć człowieka prawdziwego i odbieżności w górę i w dół. Teraz mamy bigos moralny. Gdyby Wroczyński nie wstydził się starych wzorów komedjowych, liryzmu, charakterów, tez, zdrowia wreszcie, talent jego wybrnąłby z Warszawki na szersze horyzonty.

Teatr Polski bardzo dobrze sztukę wystawił i zagrał.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Winiarski Bohdan. Bezpieczeństwo, arbitraż, rozbrojenie. Poznań 1928. Fiszer i Majewski. Str. 256.

Dąbrowski Stefan, prof. Zwrot ku poglądom humoralnym w fizjologji i medycynie. Wykład inaug. Poznań 1927. Str. 20.

Bandrowski-Kaden Juljusz. Nad brzegiem wielkiej rzeki. Lwów 1927. Zakład Nar. im. Ossolińskich (nowele).

Brodowski Feliks. Liście. Nowele. Warsz. Bibl. domu pol.

Ruch Literacki, nr. 9, listopad.

Muzyka, Warsz. listopad.

Ateneum Kapłańskie. Włocławek, listopad.

Przegląd Powszechny, grudzień.

NA MARGINESIE

„Czas" aż przysiada z radości: „To niewątpliwie udało się marszałkowi Piłsudskiemu — rozbicie i dezorjentacja stronnictw". Zwłaszcza raduje się z rozbicia bloku ósemki, „ogłaszającego się pretensjonalnie, fałszywie i drażniąco dla innych blokiem stronnictw narodowych". Jednocześnie nadszedł telegram z Warszawy, jak grom z jasnego nieba, o odezwie episkopatu, nawołującej do blokowania się stronnictw narodowych. „Czas", który zresztą tej odezwy nie ogłosił (organ konserwy!), pociesza się tem, ze odezwa nie zdąży swego dokonać, nie sklei prawicy i nie popsuje planów w układaniu listy rządowej z kandydatów skrajnej lewicy i skrajnej prawicy. „Książęta nie dali żadnego terminu dla spełnienia rzuconych w liście postulatów", więc się uda napewno od ich żądań na wybory wykręcić. „Czas", trzeba przyznać, zdobył rekord cynizmu politycznego.

Pokążcie taki organ zachowawczy na świecie, któryby się cieszył z rozbicia obozu narodowego i szydził z biskupów.

*

Dziwne to rzeczy! Czytając prasę sanacyjną, możnaby sądzić, że Polska niema o czem do myślenia. Wszystko w politycznych motywach oparte jest na uczuciu. Struna pozytywna brzmi bez ustanku jakąś miłością, wiarą fanatyczną, zbyt afektowaną, aby budziła—wiarę, a druga struna negatywna brzmi odpowiedniego napięcia nutą nienawiści, a nienawidzi się czego? Ani mniej, ani mniej ani więcej tylko obozu narodowego. Dziwny to objaw idjosynkrazji! Do żydów, komunistów, do wszystkich grup antypaństwowych stosunek panuje tolerancyjny. jedynie nie do zniesienia jest — idea wielkiej Polski narodowej. Dziwne koleje przebywa uczucie polskie! Bo czy inne byłoby w tym stosunku uczucie niemieckie? Tylko takie. Ponieważ to uczucie w Polsce robione jest bez udziału myśli (myśl jest gdzieindziej), więc nikt w tej „uczuciowej" prasie nie spostrzega, jak ono jest kompromitujące. Hańbę ma wypisaną na czole.

*

W prasie niedawno pojawiły się wiadomości o podróży p. Al. R. Lednickiego do Rygi, oraz o akcji polityczno-propagandowej, jaką tam prowadził. B. ambasador Rady Regencyjnej w Moskwie, najwidoczniej w dalszym ciągu zamierza odgrywać wydatniejszą rolę w polityce i dyplomacji. Nie od rzeczy więc może będzie przypomnienie na tem miejscu urywka wiersza satyrycznego, który w r. 1918 napisał najbardziej utalentowany poeta z grupy „Skamandra", p. Jan Lechoń (Leszek Serafinowicz). Wiersz nosi tytuł „Księcia Janusza Radziwiłła polonez" i drukowany był w zbiorze „Królewsko-polski kabaret". Oto fragment wspomnianego poematu:

„Ambasador Lednicki, ten co w Moskwie siedzi,
Też stąpa w polonezie, jak w tańcu niedźwiedzi,
Do rubachy przywykły, w delji iść nie umie —
Ambasador Lednicki nie chce zostać w tłumie
I gubiąc zapach dziegciu berlińską perfumą,
Patrzajcie, jak się puszy, z jaką stąpa dumą!
O! nie wierzę ja w tego sumienie panieńskie,
Co wczoraj pił Kie-reńskie, a dziś spija reńskie,
I będzie może jutro turkiem albo celtem,
Gdy dziś stoi, choć polskim, lecz przecież — jurgieltem"

*

Prof. Stanisław Zakrzewski, znany badacz okresu Piastowskiego, naraża przyszłych historyków na kłopot swoją osobą nie będą bowiem mogli rozplątać zagadki, jaką przedstawia jego własna karjera polityczna. W charakterze apologety obecnego kursu, który polityce piastowskiej nie odpowiada, profesor ów. wygłosił w lwowskim klubie inteligencji odczyt o mowie kaliskiej Piłsudskiego jako doniosłem zdarzeniu historycznem. W odczycie tym dał historyczny zarys owych „obcych agentur", poprostu przekupstw, dokonywanych w Polsce przez obce mocarstwa. Szkoda, że nie wyjaśnił działalności „obcych agentur" w naszych czasach. Niemcy są znane z tego, że wiele wydają na roboty polityczne zagranicą; jeżeli chodzi o „agentury", są poprostu rozrzutne. Ponieważ głównym terenem ich knowań jest najbliższy wschód, więc Polska narażona jest na największe pokuszenie. Prof. Zakrzewski nie wyjaśnił, gdzie się podziewają te niemieckie pieniądze, czy roboty filogermańskie w Polsce są bezinteresowne, czy też dobrze zakonspirowane. Opinja publiczna nieźle już orjentuje się w tym względzie. Znajdzie się historyk, który to wyjaśni.

Do zeszytu niniejszego dołączamy kartę tytułową do rocznika 1927 i spis rzeczy. Należy te kartki odjąć i dać na początku kompletu do oprawy.

Prosimy o pośpieszne nadesłanie prenumeraty na r. 1928 i zaległości.

TREŚĆ: O świadectwo prawdzie *M. Kiniorskiego.* — Konflikty konstytucyjne w Polsce *St. Głąbińskiego.* - Ojciec Brown *St. Kozickiego.* — Wspomnienia o Reymoncie *J. Zamorskiego.* — Sentencje i paradoksy *F. Chwaliboga.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Dmowski o nagrodzie; Dla nauki; Mała Polska budowana na błocie. — Przegląd polityczny *J. R.*— Literatura i nauka: (Odznaczenie znakomitego fizyka *J. Mazura* i Arthur i Wanda *St. Pieńkowskiego*). — Sztuki plastyczne *K. L.* — Teatr *Z. W.*—Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELINSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM